Nr. 34 (471). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 19 sierpnia 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X

ŚWIATOWID



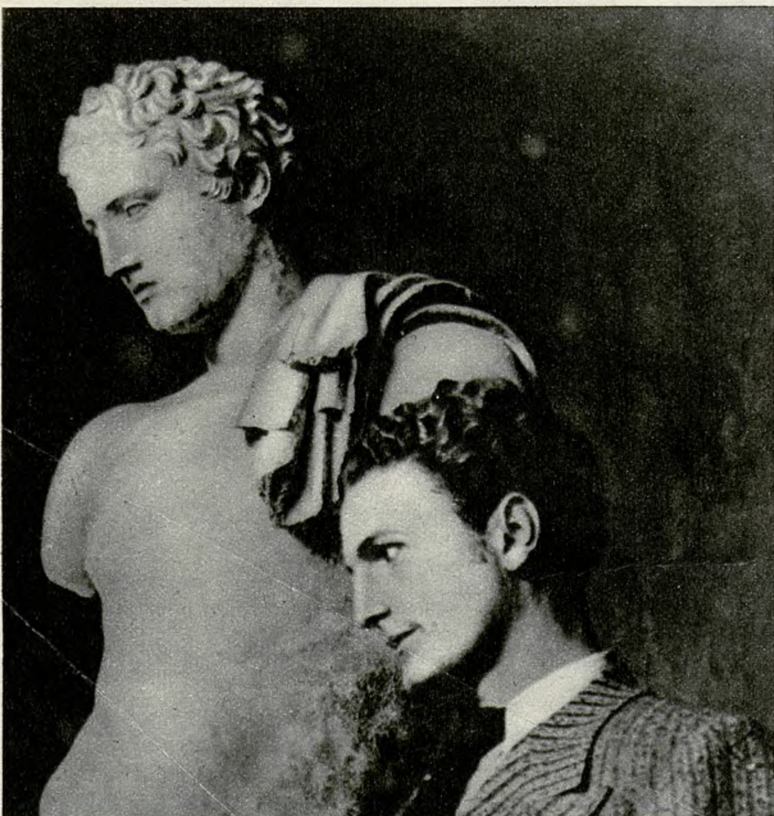
SUKCESY POLSKIEJ ŁUCZNICZKI NA MISTRZOSTWACH ŚWIATA W LONDYNIE.

W zawodach o mistrzostwo świata brała udział także polska drużyna, wśród której wyróżniła się p. Janina Kurkowska-Spychajowa, która zdobyła tytuł mistrzyni świata. — Na zdjęciu widzimy ją wyjmującą strzały z mistrzowskiej tarczy.

NA ZAMKU W NIEŚWIEŻU.

Z okazji pożegnania starosty płk. Czachowskiego, przeniesionego do Gorlic i powitania nowomianowanego starosty Winczewskiego, wydał ks. Radziwiłł w Nieświeżu przyjęcie (na zdjęciu). Nieśwież należy do najbardziej magnackich rezydencyj w Polsce i jest ważnym ośrodkiem kultury polskiej na Kresach.

ŻYWY HERMES



Za najklasyczniejsze wcielenie ideału urody męskiej uchodzi Hermes, rzeźba słynnego greckiego rzeźbiarza Praxytelesa, który żył w Atenach w połowie 4-go wieku przed Chr. Hermesa znaleziono w 1870 r. w Olimpji. Obecnie student grecki Jan Zaphiropoulos stwierdził, że jest uderzająco podobny do owego Hermesa. Podobieństwo to jest rzeczywiście zdumiewające, jak to widać na zdjęciu.

„OKO W OKO Z KRYZYSEM"

Najpoczytniejszym w tej chwili autorem jest znany dziennikarz Konrad Wrzos, którego reportaż z podróży po Polsce p. t. „Oko w oko z kryzysem" został formalnie rozchwytany tak, że wydawca musiał w kilka tygodni po ukazaniu się książki przystąpić do jej drugiego wydania

Reportaż cieszy się w ostatnich czasach największem powodzeniem; książki Knickerbockera i Kischa są dziś najpoczytniejsze w Europie. A zatem pasa na reportaże. Wrzos jest reporterem politycznym najwyższej klasy. Jego informacje i wywiady mają doskonałą opinję nietylko z powodu metody pracy dziennikarskiej, będącej



Autor cieszącego się niebywałem powodzeniem reportażu pt. „Oko w oko z kryzyem" przy pracy. Wrzos robi „wywiad". Tym razem reporter polityczny przerzucił się z gabinetów dostojników państwowych do miasteczka bezrobotnych Annopola, gdzie gawędzi ze swym pupilkiem, Romkiem, znanym z książki pt. „Oko w oko z kryzysem.

Głośny już dziś reportaż Wrzosa zawiera życie i barwne opisy ośrodków dotkniętych kryzysem, jak Annopola, Zawiercia, Katowic, Łodzi, Sosnowca, wsi, dworów i pałaców.

Powodzenie, jakiem się cieszy ta książka, która wyszła z pod pióra nie literata, lecz dziennikarza, i to dziennikarza politycznego — mówi bardzo wiele o aktualnych zainteresowaniach publiczności.

przeciwstawieniem wszelkiego szablonu, czy zrutynizowania. Nic też dziwnego, że był on jedynym dziennikarzem, któremu Pan Prezydent Rzeczypospolitej udzielił dwugodzinnej rozmowy.

Rozmowa ta zawarta jest w zbiorze reportaży z podróży po Polsce p. t. „Oko w oko z kryzysem", który ukazał się przed kilkoma tygodniami nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie.

NA WARSZAWSKIEJ PLAŻY.

Plaże warszawskie rozpoczęły w tym roku swój sezon ze znacznem opóźnieniem. Przedsiębiorcy lamentowali, że czerwiec i połowa lipca — przepadły...

— Chyba choinkę ubierać będziemy na plaży — mówił właściciel jednej z plaż — bo może w grudniu na Boże Narodzenie doczekamy tych upałów, które powinne być w lecie...

Ale słońce dogrzało nareszcie i ławice piasku nad Wisłą zaroiły się kłębowiskiem ciał... Bo chociaż mówi się o tem dużo, że nadmierne opalanie się wychodzi z mody, ale jednak ogorzała skóra ma jeszcze ciągle wielu zwolenników...

Władze zainteresowały się w tym roku silniej moralnością na plaży warszawskiej...

Zakwestjonowano zbyt krótkie przepaski u panów, zabroniono tańczyć na plaży w kostjumach kąpielowych... Dancingi plażowe wymagają albo pyjam, albo zwykłych strojów... Tango lub foxtrott w krótkim trykociku — surowo zakazane!

Tak samo policja warszawska tropi kluby nagusów, które ostatnio zaczęły się tworzyć nad Wisłą na wzór francuskich i niemieckich kolonij nudystów...

Kto chce opalić się dokładnie i wszechstronnie — ten musi udać się na specjalnie ogrodzony odcinek plaży — odcinek, żeby tak rzec — jednopłciowy.

Coprawda, z pod ogrodzenia osłaniającego plażą damską, na której panie, a między niemi cały szereg gwiazd i gwiazdeczek sceny i ekranu przerabia się na mulatki, malajki, murzynki — trzeba nieraz odpędzać zbyt ciekawych plażowiczów...

Niedawno przychwycono jednego ze znanych artystów dramatycznych w chwili, kiedy przykładał oko do szpary w parkanie...

Tłumaczył się, że nie posiadając zegarka przy sobie, chciał zobaczyć na zegarze plażowym — która godzina...

— A może pan czekał na tramwaj? — zapytał zjadliwie jeden z oficjalnych stróżów moralności, no i skończyło się na jakiejś drobnej grzywnie.

Żadnej zato cenzurze ani kontroli nie podlegają rozmowy na plaży... Flirt tedy kwitnie w całej pełni...

— Pani mi się dzisiaj śniła...

— O! Też coś... Przecież pan jest żonaty i pan ma taką ładną żonę...

— Pani jeszcze nie była żoną — to pani nie wie, że w małżeństwie to się wszystko tak układa, układa, aż się powoli złoży... A pani jest królową plaży!... Co prawda, ma pani jedną rywalkę...

— Co?! może ta ruda z krzywą łopatką!... Ha! ha! ha!... Uśmiałam się...

— A czy to panna, czy mężatka?

— Nie wiem, ale napewno żydówka!

— Możliwe.

Te djalogi podsłuchane na plaży aż proszą się o pióra jakiegoś autora skeczów rewjowych... Dla Dymszy czy Krukowskiego — materjału moc!...

Dymsza zresztą każdy wolny dzień przepędza na t. zw. krypie, ćwicząc swoje mocno ogorzałe ciało w skokach do wody i innych wyczynach pływackich... Obiecuje, że na przyszły rok przybędzie na Wisłę z ekipą swoich dzieci — być może, że znowu pomnożoną...

Światek aktorski zmuszony przez swoją pracę do przepędzenia lata w mieście, chętnie korzysta z plaży nadwiślańskiej...

Można tedy podziwiać w kwiecistej plażowej pyjamie złotowłosą Lili Zielińską i uroczą Sarnowiczównę i „Fraulein Doctor" Tatarkiewicz-Woskowską...

Opalają się młodzi aktorzy Teatru Narodowego: Jerzy Roland, Ryszard Kierczyński... Uwija się po Wiśle piękny „gwiazdor" filmowy Mieczysław Cybulski, opalony na „wilka morskiego"...

Ciała gibkie, wysportowane, na bronz słońcem spalone — spoczywają na piasku — obok rozmaitych karykatur budowy fizycznej...

Ale ostatecznie opasłe brzuchy, rachityczne nogi i krzywe łopatki mają także prawo do słońca...

I właściwie — może to nawet rozczulające, kiedy się widzi, jakąś grubą matronę z żylakami na nogach, jak w krótkim trykociku podryguje na gorącym piasku...

Za czasów swej młodości nie mogła się należycie nacieszyć rozkoszami plaży — więc teraz to sobie chce powetować...

Więc strzela z łuku, gra w koszykówkę, buja się na huśtawce i opala się, opala! opala...

Na zdrowie!...

J. Migowa.



Amatorzy słońca na dzikiej plaży.



Wesoła jazda we dwoje.





W efektownej pozie.

ŻNIWA W PEŁNI.



Falują złociste łany zbóż, poruszane lekkim wiatrem — szumią. Dojrzałe, ciężkie kłosy gną się silnie ku ziemi. Idą żniwa. Chwila to niezwykle uroczysta dla każdego rolnika. Nieledwie z religijną czcią patrzą oni na swoje zagony, na plon swojej twardej pracy. Twarde, zgrabiałe dłonie, ujmują krzepko, stare kosiska — idą hen na kośbę. Płynie przez pola srebrny brzęk ostrzonej stali.

Rozwój techniczny współczesnej doby, zmechanizował również i rolnictwo, wypierając pracę rąk ludzkich. Pługi parowe i benzynowe czy rope orzą glebę. Czynią to o wiele prędzej i sprawniej, niż pługi konne. Kosiarki koszą trawę. Są maszyny do sadzenia, kopania ziemniaków, maszyny do rozrzucania gnoju, są siewniki, do równego siewu rzędowego. Wszędzie maszyny. A żniwa? I tu wynalazczość ludzka nie próżnowała. — Skonstruowano maszyny żniwiarki, połączone z wiązarkami, które ścinają i odrazu wiążą zboże, pozostawiając gotowe snopki. Żniwiarki są błogosławieństwem dla większych obszarów rolnych. Często bowiem podczas żniw psuje się piękna pogoda — trzeba się więc spieszyć. Zamało jest zwykle w tym okresie na wsi, do dyspozycji obszarów dworskich, rąk ludzkich, a te, które są, pracują za wolno. Żniwiarka te rzeczy upraszcza, przyczyniając się walnie do przyśpieszenia zbiorów i uchronienia się na wypadek słot, od strat.

Na małych właścicielskich gospodarstwach — który to typ przeważa w Małopolsce, odbywają się żniwa po staremu. Zboże kosi się ręcznie. Od bardzo dawnych czasów, ogół gospodarstw rolnych w Polsce był nastawiony na produkcję zbożową. — Obecnie jednak wskutek kryzysu gospodarczego i nadmiaru zbóż na rynkach światowych, dąży się do ich ograniczenia i przekształcenia tego typu gospodarstw na gospodarstwa hodowlane. Przemiana ta następuje powoli, ale systematycznie.

K. Fug.

ORLAMONDE
MAURYCEGO MAETERLINCKA.

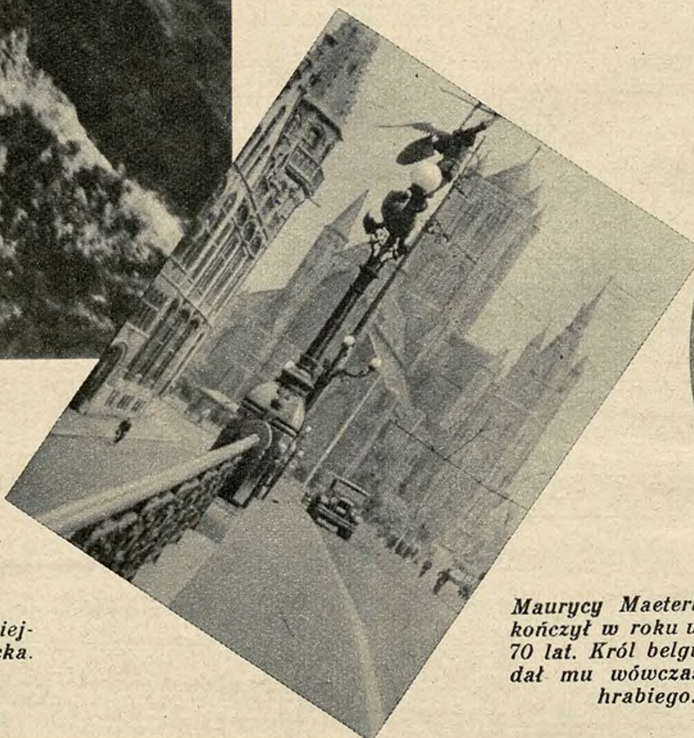


Willa „Orlamonde" w Nizzy, w której mieszka znakomity poeta włoski Maurycy Maeterlinck.

Przy końcu długiego bulwaru Carnot, już poza octroi Nizzy, na wyniosłym brzegu morskim wznosi się wielka oryginalna willa, od strony bulwaru wyglądająca na ledwie zaczętą jakąś betonową budowlę. Dopiero z okrętu od strony morza widać szereg wyniosłych arkad, świadczących o monumentalności kryjących się wnętrz. Jestto niedoszłe kasyno i teatr zamienione w willę „Orlamonde" i zamieszkane obecnie przez Maurycego Maeterlincka. Jest coś z upodobań flamandzkich w tej niepozorności zewnętrznej a wspaniałości wnętrz, w tej siedzibie wielkiego adoratora i piewcy przyrody i światła, któremu brakło słońca pod chmurnem niebem rodzinnej Gandawy. Orlamonde rok i dzień cały pełna jest światła odbijającego się w wypolerowanych marmurach jej wnętrz. Autor „Inteligencji Kwiatów" jest bowiem wielkim miłośnikiem słońca. Gdy w czasie pierwszego mego tam śniadania pani Renalde posadziła mnie po swej prawicy, lecz tyłem do wielkich oszklonych arkad, zwrócił jej uwagę: „Czy nie lepiej posadzić gościa twarzą do światła i morza?" Maeterlinck należący do protektorów „Cerle Polonais" w Nizzy, ma dla Polski wiele sympatji i nazywa nas narodem artystów. Pracuje jeszcze stale piórem, biorąc zarazem żywy udział w życiu oficjalnem Nizzy.

Gdy po raz ostatni opuszczałem Orlamonde i patrzyłem na lekko tylko zgarbione plecy pisarza nad kierownicą prowadzonego przez nią ata, a obok przez szybę na młodą twarz pani Renalde, stanął mi przed oczyma wyblakły afisz adoratora Maeterlincka Wyspiańskiego do odczytu Przybyszewskiego o „Wnętrzu" z dziewczynką za szybą. I dopiero na tle tych dla mnie tylko mitycznych cieni uplastycznił mi się ogrom niesłychany żywotności tego człowieka, który dążąc stale do światła i życia, porzucił deszczowe niebo Flandrji, potem poprzednie (należące jeszcze do niego) rezydencje, jak Chateau Medan póln. (Francja), a nawet w Nizzy wyżej położoną Villa des Abeilles, by tu na jasnym brzegu morza czerpać do końca z uroków życia...

Dr. Tadeusz Przypkowski.

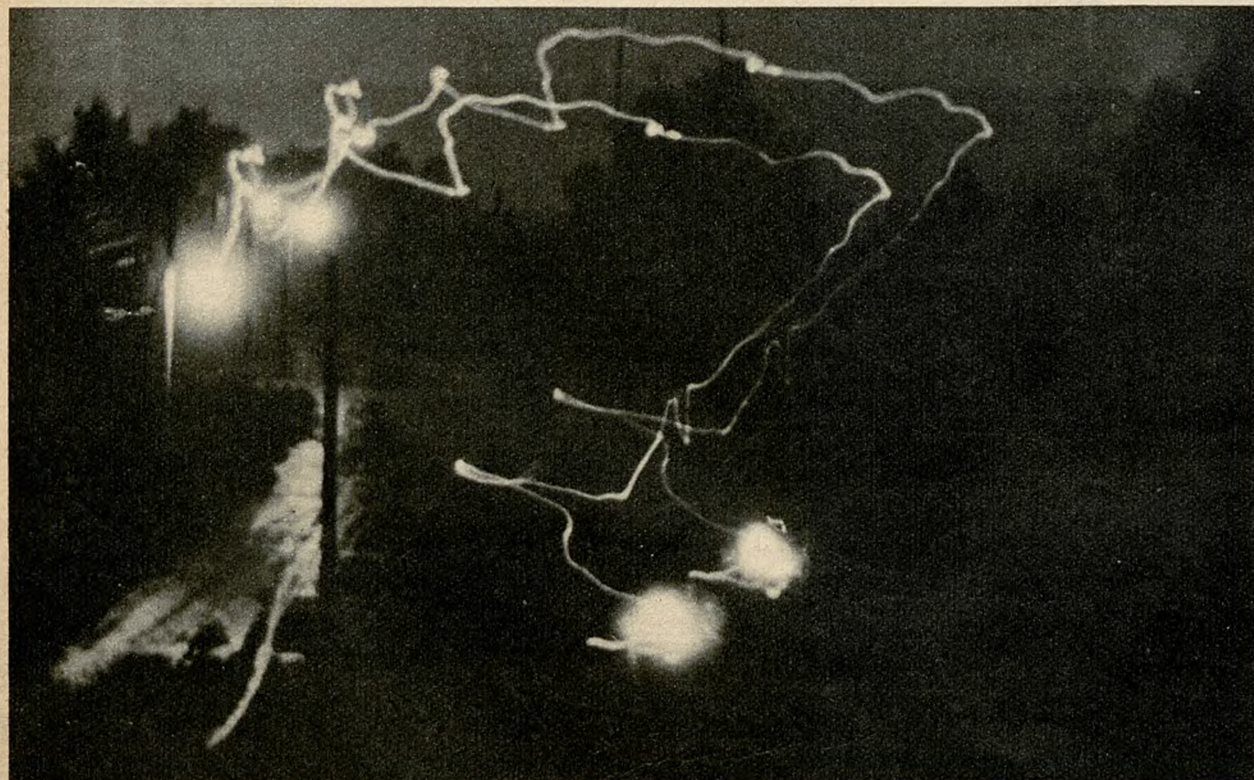


Widok na Gandawę miejsce urodzenia Meterlincka.



Maurycy Maeterlinck ukończył w roku ubiegłym 70 lat. Król belgijski nadał mu wówczas tytuł hrabiego.

PIORUN PRZEŚLADOWCĄ.



Burza nad Wilnem. *Fot. Jaskowski Arnold — Wilno.*

Tegoroczne upalne lato obfituje w burze i nawalnice, których ofiarą na terenie Polski padło w ostatnich tygodniach kilkunastu ludzi, zabitych przez pioruny. Padli oni przeważnie ofiarą własnej lekkomyślności, gdyż schronili się pod wysokie drzewa, w które jak wiadomo pioruny najczęściej uderzają.

Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że są ludzie, jakby specjalnie przez pioruny umiłowani, których ciało niejako ściąga elektryczność powietrzną. Do najgłośniejszych ludzi tego rodzaju należał mjr. angielskiej artylerji polowej E. J. Summerford. W czasie wojny światowej znajdował się on na froncie, gdzie dnia 1 maja 1918 r. w chwili, gdy wyruszył na patrol, ugodził go piorun, powodując paraliż jego ciała. Powrócił do zdrowia Summerford dopiero w 1922 r. i przeniósł się do Kolumbji brytyjskiej, gdzie nabył grunt w pobliżu Vancouveru i spędzał czas na myśliwstwie. W 1930 r. kiedy wybrał się na wycieczkę, znowu uderzył weń piorun i zdarł z niego ubranie, nie czyniąc mu większej szkody. Po raz trzeci ugodził w Summerforda piorun dnia 28. sierpnia 1931 r., zabijając go na miejscu. Urządzono mu pogrzeb bardzo uroczysty a na grobie jego wzniesiono kamienny krzyż. W dwa dni później piorun roztrzaskał ów krzyż zupełnie, tak, że musiano postawić nowy. Ale i ten uległ po upływie tygodnia temu samemu losowi. Wobec tego posadzono na grobie nieszczęsnego majora lipę. W kilka miesięcy później znowu rozszalała się burza, w czasie której w lipę ową uderzył piorun kulisty i roztrzaskał ją na drobne kawałki. Dzisiaj już na grobie „człowieka znienawidzonego przez pioruny" niema żadnego nagrobku.

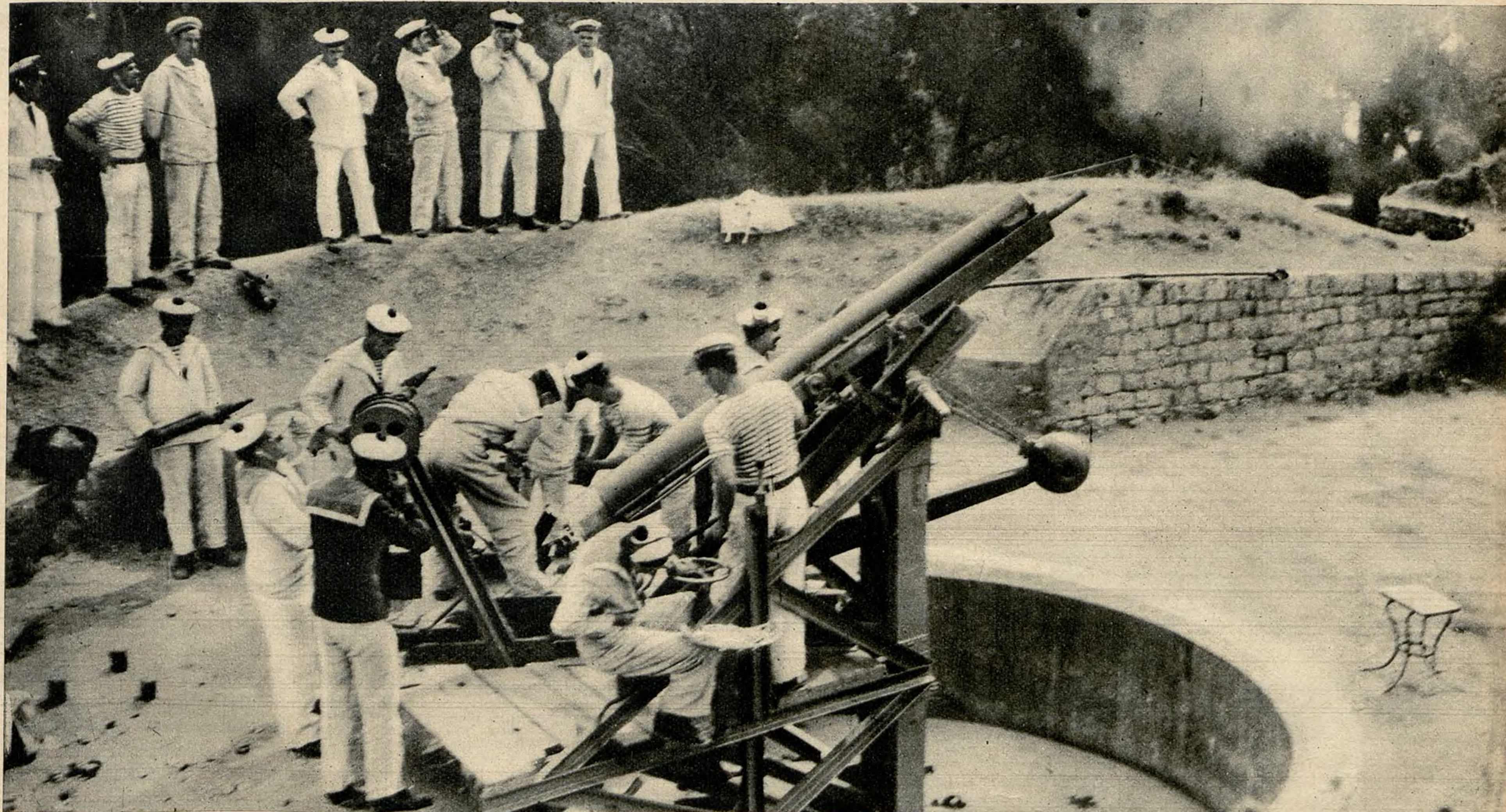
SAM JEDEN SAMOTNY WĘDRUJĘ PRZEZ ŚWIAT.

Cytra jest instrumentem, wychodzącym coraz bardziej z użycia. W Polsce np. możnaby nieledwie policzyć na palcach tych, którzy jeszcze jako tako umieją grać na niej. Natomiast zupełnie inaczej jest w Austrji, a specjalnie w krajach alpejskich, jak w Styrji, Karyntji, a przedewszystkiem w Tyrolu. — Tam cytra rozbrzmiewa jeszcze i jest niejako narodowym instrumentem. Na zdjęciu stary Tyrolczyk, wirtuoz, który wziął niejedną nagrodę na konkursach, grający na cytrze starą pieśń alpejską: „Sam jeden samotny wędruję przez świat".



MANEWRY LOTNICZE WE FRANCJI.

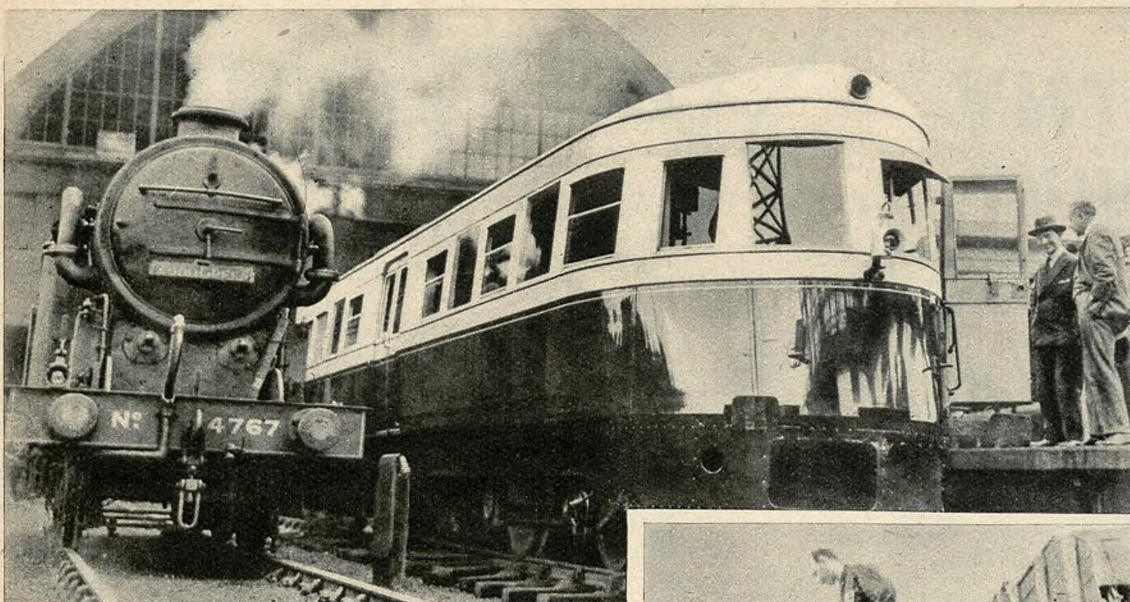
W Tulonie odbyły się pod okiem marszałka Francji Petain'a, sławnego obrońcy Verdun'u, wielkie manewry eskadr lotniczych południowej Francji. Wziął w nich również udział minister lotnictwa Pierre Cot, pilotujący na własnym samolocie. Założeniem manewrów był nieprzyjacielski atak lotniczy na południowo-wschodnie wybrzeża Francji (Riviera!), a zadaniem ich była nietylko obrona wybrzeża czysto-wojskowa, lecz również usprawnienie i uzgodnienie współpracy władz cywilnych i ludności w kierunku unieszkodliwienia ataku i jego skutków. Na atak nieprzyjacielski, który rozpoczął się o godz. 2.30 w nocy, odpowiedziały władze cywilne zaalarmowaniem ludności całego wybrzeża i zgaszeniem wszelkich świateł na całym odcinku zagrożonej Riwiery, jakoteż uruchomieniem obsługi pożarniczej i sanitarnej, a armja lotnicza francuska, wspomagana artylerją przeciwlotniczą, atakiem na nieprzyjaciela w powietrzu. Manewry wykazały nieporównaną sprawność francuskiej armji lotniczej.



Artylerja przeciwlotnicza na francuskich manewrach lotniczych w Tulonie strzela na samoloty nieprzyjacielskie, atakujące francuską Riwierę. Na zdjęciu działo 75 mm w momencie oddawania strzału.

Zdjęcie Wide-World Photos — Paris.

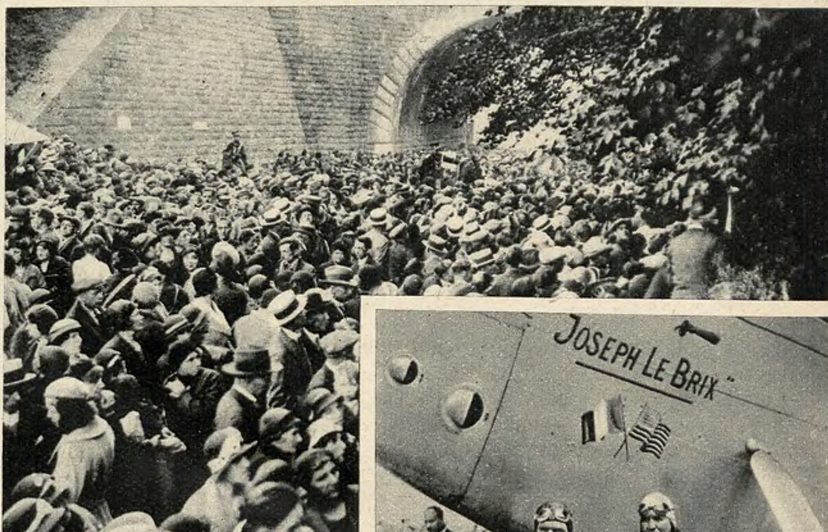
SPACER PO ŚWIECIE



PAROWÓZ W WALCE Z MOTOREM DIESLA. Idąc za wzorem Niemiec i Anglja zaczyna na swoich kolejach wprowadzać wozy motorowe, pędzone motorami Diesla. Wozy te o kształtach aerodynamicznych mogą rozwijać zawrotne szybkości. Na zdjęciu wagon motorowy, wyprodukowany przez firmę Armstrong Whitworth na dworcu w Londynie. Obok lokomotywa.



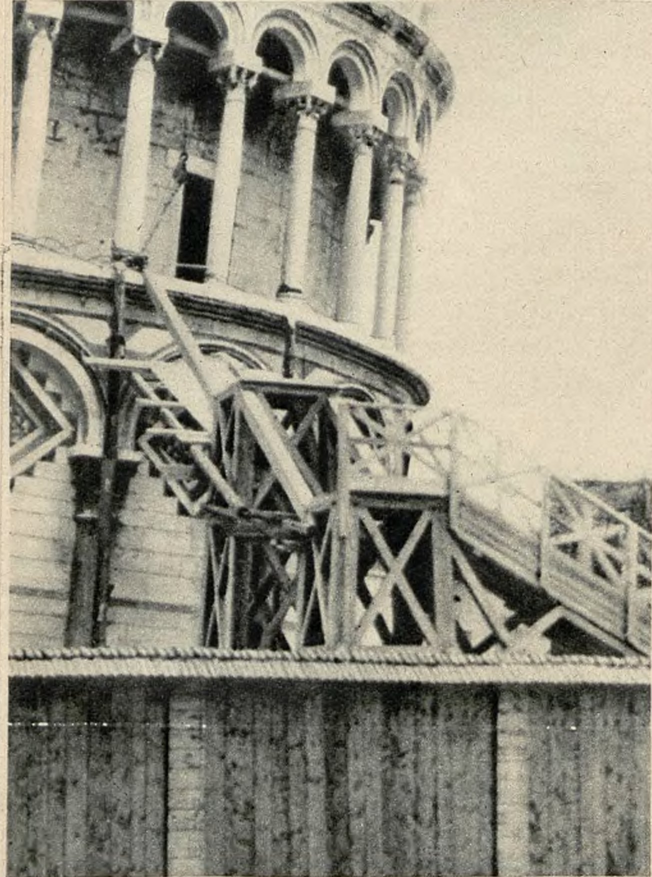
CUD ŻELAZNEJ WOLI. Na gigantyczną miarę zakrojone roboty około oszuszenia błot pontyjskich, zainicjonowane przez Mussoliniego, zamieniły bezużyteczne bagniska na urodzajna ziemię. Dziś odbywają się tam żniwa (na zdjęciu) a ludność błogosławi wielkiego Duce, który dał jej chleb.



BELGIJSKIE LOURDES. Nieprzeliczone masy ludzi (na zdjęciu) spieszą z całej Belgji do groty w Beauraing, gdzie miała objawić się kilku osobom Matka Boska. Szczególnie wrażenie wywołało uzdrowienie kilku paralityków, dla których lekarze nie widzieli ratunku. Wśród pątników główny rej wodzi niejaki Cosme Tilmant, twierdząc, że ma ekstatyczne widzenia i że rozmawia z Matką Boską, która wyraziła życzenie, aby na miejscu cudów wzniesiono kaplicę ku Jej czci. Władze kościelne do tych wszystkich wypadków jak dotąd odnoszą się z rezerwą.



W POGONI ZA REKORDAMI. Lotnicy francuscy Rossi i Codos na paracie „Joseph le Brix", wystartowawszy z Nowego Jorku i przeleciawszy przez Ocean wylądowali w Razak koło Damaszku po 55 godzinach lotu i przebyciu 9.300 km., bijąc w ten sposób rekord długości lotu, który należał do Anglików.



WIEŻA, KTÓRĄ TRZEBA PODEPRZEĆ. Słynna krzywa wieża w Pizie (Włochy) pochyla się coraz bardziej, grożąc zawaleniem. Dlatego władze przystąpiły do jej reperacji. Przedewszystkiem postanowiono umocnić ziemię naokoło wieży, aby fundamenty jej znalazły stałe oparcie. Wieża w Pizie (na zdjęciu) została zbudowana w latach 1174—1350. Nachylenie jej wynosi 4 m 3 cm. Polska też posiada krzywą wieżę w Toruniu, pochodzącą z XIII wieku.



ST. ZJEDNOCZONE NA NOWYCH DROGACH.

Ameryka dzisiejsza przeżywa okres, który możnaby śmiało nazwać rewolucją. Nici tej rewolucji skupiają się w ręce nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych. współczesnego dyktatora olbrzymiej części kontynentu amerykańskiego Roosevelta.

Roosevelt wypowiedział walkę ogólnej nędzy, bezrobociu i wzmagającemu się z dnia na dzień kryzysowi. Kryzys ten doszedł do napięcia takiego, że zdawało się, że wielkie mocarstwo zachodniej półkuli stanęło nad brzegiem zupełnej ruiny. Tysiące i setki tysięcy bezrobotnych wraz z rodzinami wędrowało drogami Stanów Zjednoczonych, szukając darmo pracy i chleba, bezdomni padali z głodu na ulicach miast, w wielu stanach dochodziło do krwawych rozruchów na tle piętrzącej się coraz bardziej nędzy wsi, samorządy nie miały pieniędzy na wypłatę swych urzędników, banki zamykały kredyty, a fabryki z dnia na dzień wyrzucały tysiące na ulice.

Roosevelt — dziecko wsi amerykańskiej, farmer w swej mentalności — przystąpił do walki z kryzysem zdecydowanie imając się radykalnych metod. — Przedewszystkiem zwrócił się przeciwko wielkim potentatom finansowym, spekulantom i bankierom, rozpoczynając akcję idącą w kierunku oddłużenia wsi, jęczącej pod ciężarem bardzo często fikcyjnych zobowiązań w stosunku do wielmożów finansowych.

Dewaluacja dolara miała wywieść wszystkich z niewoli długów, miała podnieść ceny produktów rolnych, które do niedawna stały na śmiesznie niskim poziomie.

W odbudowie gospodarczej i społecznej kraju, zwrócił się prezydent Roosevelt przedewszystkiem frontem ku wsi. Zaznaczył, że wieś to najważniejszy wytwórca i najważniejszy konsument, którego dobro powinno być najwyższą troską państwa.

W szeregu przemówień obecny dyktator Stanów Zjednoczonych nawoływał z jednej strony wieś, ażeby trwała na roli i nie dawała się zwodzić mirażami łatwego wzbogacenia się w mieście, z drugiej strony zaapelował do wielomiljonowej rzeszy bezrobotnych, ażeby szła na wieś, ażeby organizowała się w kadry pionierskie, zakładające nowe osady w stepach i puszczach amerykańskich.

Na apel prezydenta zgłosiły się tysięczne rzesze bezrobotnych i poczęły sę organizować pionierskie bataljony robotnicze, idące na daleki zachód, ażeby karczować lasy i użyźniać bezpłodne dotychczas stepy (na zdjęciu).

Niezależnie od pracy pionierskiej mającej na celu osiedlenie wielu bezdomnych i bezrobotnych na roli, rozpoczął prezydent Roosevelt na wielką skalę zakrojone roboty publiczne, przy których znalazły zatrudnienie dalsze bataljony robocze.

Pierwsze kroki prezydenta Roosevelta dały już oczekiwane wyniki. Ruszył przemysł, podniosły się ceny produktów wiejskich, zmniejszyło się znacznie bezrobocie.

Dziś kolejami, samochodami i pieszo wędrują olbrzymie falangi robotnicze do nowych warsztatów pracy. Chwilami ma się wrażenie pierwszych lat budowania państwa amerykańskiego, kiedy to stepami wędrowały olbrzymie karawany osadników.

Prezydent Roosevelt postanowił dać ludziom ziemię, dach nad głową i swój własny warsztat pracy. W ten sposób znaczna część dzisiejszych nędzarzy ma znaleźć ratunek i przyszłość.

Jak się zakończy rewolucja prowadzona przez prezydenta Roosevelta — trudno dziś zasadniczo wyrokować. W każdym razie w tej chwili zaczyna dawać już pozytywne wyniki.

PIĘKNA PANI, TWOJE FUTRO OCIEKA KRWIĄ.

BARBARZYŃSKIE METODY POLOWANIA NA PSY MORSKIE. — DWIEŚCIE UDERZEN MACZUGĄ. — WYŁUPYWANIE OCZU. — KREW NA FUTRZE.

Są zwierzęta, na które dla ich skóry lub upierzenia poluje się z okrucieństwem niegodnem naszej cywilizacji; — zwierzęta takie należałoby wziąć pod opiekę prawodawstwa międzynarodowego.

Oto przykład:

Różne gatunki psów morskich wędrują co roku do pewnych wysp na Pacyfiku, gdzie samce, samice i młodzież z ostatniego roku zbierają się, by użyć słońca i życia.

Gdy już zwierzęta te znajdą się na lądzie, stają się łatwym łupem człowieka (na morzu bardzo trudno je chwytać) z przyczyny swych trudnych ruchów na ziemi i z powodu upornego trzymania się miejsca wybranego do odpoczynku.

Ponieważ skóra i futro psów morskich dają niemałe zyski, polują więc na nie ludzie z całą zawziętością. Dlatego to niektóre rządy zabroniły, widząc całą tę niszczycielską robotę, polowania na psy morskie na lat kilka, a inne (jak np. Kolumbja, Urugwaj) ograniczyły to polowanie warunkiem, aby zabijano psy morskie tylko rodzaju męskiego w pewnym określonym wieku ich życia.

Jakie korzyści dają takie polowania, dość nadmienić, że jedna tylko wyspa St. Paulo, dała pewnemu amerykańskiemu akcyjnemu Towarzystwu, zajmującemu się handlem futer sealskinowych (z psów morskich) w ciągu 20 lat 30 miljonów dolarów zysku.

Gdyby takie polowanie, taka rzeź, jaka się tam odbywa, miała miejsce na kontynencie europejskim, z pewnością wdałyby się w to władze policyjne, oburzyłaby się też opinja publiczna i pociągnęłaby krwawych rzeźników do odpowiedzialności.



Psy morskie w okolicach podbiegunowych. Presse-Photo.

Ale owe wyspy, gdzie polują na psy morskie, znajdują się na odludziu, a biedne te zwierzęta zalicza się z rozmysłem do zwierząt „dzikich", chociaż takiemi wcale nie są. I nie ma żadnego stowarzyszenia, któreby je wzięło w obronę, a los ich jest okropny, jak to zaraz zobaczymy.

Polowanie, a raczej barbarzyńska robota, zaczyna się wczesnem latem. W tym czasie zbierają się psy morskie masowo na brzegach morskich, lub na wyspach, radując się swem życiem.

Dobra to dla myśliwych sposobność. Przybywając na statkach od strony morza, odpędzają gromady psów morskich od brzegów wgłąb lądu, aby im przeszkodzić w ucieczce do morza, odłączają następnie samce od samic i pędzą pierwszych na oznaczone miejsca. Gdy się zaś już tam wszystkie ofiary znajdą, rozpoczyna się barbarzyńska rzeź. Do mordowania tych biednych zwierząt nie używa się broni palnej, ani innych przyrządów sprowadzających śmierć natychmiastową, lecz zabija się je maczugami, chociaż praktycznie złączone to jest ze szkodą dla skóry zwierzęcia. Ale stary zwyczaj na inny sposób mordowania nie zezwala.



Słoń morski.

Trudno opisać, co się tam wtedy dzieje, podajemy tylko słaby obraz takiej rzezi na podstawie opowiadania naocznego świadka, który brał udział w takiej wyprawie. Oto co on mówi:

...Zwierzęta krwawo bronią swego życia. Potrzeba tedy nieraz 200 uderzeń pałką, aby jedno z nich zabić. Bywa więc, że chociaż wielu ludzi tem się zajmuje, muszą robotę co pewien czas przerywać — aby wypocząć. I chociaż już nieraz wszystkie zęby zwierzętom wybito, chociaż czaszki im rozpłatano i mózgi się ich rozprysły, to one jednak walczą dalej o swe życie i bronią go.

Przypominam sobie — tak opowiada dalej jeden z tego rodzaju myśliwych-rozbójników — że jednemu z psów morskich rozbiłem czaszkę na kilka części, oczy wyłupiłem, a jednak zwierzę jeszcze przez dwa tygodnie żyło, mimo, że jak posąg, nie ruszało się.

Metodę wyłupiania oczu biednym tym zwierzętom uważa się za bardzo potrzebną w polowaniu na nie, gdyż uniemożliwia się im przez to ucieczkę do morza. Zwierzę pozostaje tam, gdzie leży, nie wiedząc, dokąd się zwrócić. To ułatwia robotę — więc gdy zachodzi obawa, że wiele zwierząt mogłoby uciec do morza, zanim się je zabije, najpierw, o ile tylko możliwe, **wybija się im oczy.** Potem łatwo już je można chwytać i nie potrzeba śpieszyć się z zabijaniem, jest więc czas na swobodne palenie papierosów, na posiłek i drzemkę.

Głównym celem polowania na psy morskie jest zdobycie jaknajwiększej ilości futer, zwanych w handlu „sealskinowemi", a że czas jest drogi, więc myśliwi uważają za rzecz bezpożyteczną czekanie, aż wszystkie ofiary ich okrucieństwa przestaną żyć, by dopiero potem ściągać z nich skóry.

Skoro tedy nieszczęśliwe i strasznie cierpiące zwierzęta przestaną kąsać w podstępny sposób i bronić się, ściąga się z nich skórę, chociaż zwierzęta jeszcze dają znaki życia. Wcale się na to nie zważa, że ciało to po zdjęciu zeń skóry, jeszcze pręży sę, drga, rzuca się i walczy ze śmiercią. Odebrano zwierzęciu to, czego sobie życzono.

Mówią, że taki strasznie okaleczony pies morski wydaje głos jakby boleściwego płaczu i to jest prawdą; wzdycha on przytem boleśnie, jakby chciał prosić o litość u tych, którzy tak okrutnie pastwią się nad nim.

Panie, które się stroją w futra sealskinowe, nie wiedzą zapewne, jakim pomnikiem hańby są te futra... i ile tam na nich krwi biednego zwierzęcia!

Dz.

WŚRÓD BARTKÓW I MAĆKÓW WE FRANCJI.



Dzieci polskie, idące do szkoły w Hènin-Lièťard (dep. Pas-de-Calais). Miejscowość ta leży w odległości 28 km. od Bethune, liczy 18.000 mieszkańców, w tem duży procent polaków.

Największe polskie skupisko emigracyjne w Europie znajduje się we Francji, gdzie przebywa obecnie około 600.000 Polaków. Mieszkają oni zwartą masą w departamentach Pas-de-Calais i Nord, gdyż w rejonie Paryża naliczono ich wszystkiego 30.000, a we Francji środkowej 15.000.

Emigracja do Francji zaczęła się po r. 1918. Spustoszona i wyludniona Francja potrzebowała wielu rąk dla swej odbudowy. Wysokie zarobki znęciły w pierwszym rzędzie tych z naszych rodaków, którzy od dziesiątek przebywali w Westfalji. Wielu z nich na wiadomość o powstaniu Polski postanowiło opuścić te strony, zwłaszcza, że rząd niemiecki zaczął ich wysiedlać, jako niepożądanych obcokrajowców. „Westfalczycy" więc, jak nazywano polskich robotników z zagłębia Bochum, zaczęli się masowo przenosić do Francji, aby odbudowywać zniszczone przez wojnę departamenty. Ich ofiarnej pracy zawdzięcza Francja północna, że rany wojenne w tych okolicach szybko zabliźniły się, a zniszczone warsztaty pracy stanęły otworem dla robotników.

Kiedy odbudowa północnej Francji została zakończona, część robotników wróciła do Polski, a reszta (wśród nich przeważnie wykwalifikowani górnicy) pozostała we Francji, gdzie znalazła stałe zatrudnienie. Francuzi bowiem rodowici nie bardzo się kwapią do tak ciężkiej pracy, jaką jest górnictwo.

Największy ruch emigracyjny w kierunku Francji notuje statystyka około r. 1926, t. zn. w okresie dobrej konjunktury. Wtedy to, szczególnie z Małopolski zachodniej, wędrowały całe gromady do Francji tak, że liczbę naszych rodaków szacowano tam nieoficjalnie na 700.000. Skupiali się oni głównie w okręgu Lille i Douai. W okręgach tych widziało się niejednokrotnie całe osady i miasteczka, w których Polacy stanowili do 80—90% ludności.

Krajobrazowo okolice te są beznadziejnie smutne. Naogół równina zamknięta kominami dymiącemi i szybami węglowemi.

Tylko czasem wśród tej szarzyzny połyskuje zieleń murawy, pożółkłej i spłowiałej. W powietrzu unosi się gryzący dym.

Przy każdej kopalni i fabryce wyrasta rząd małych domków. To mieszkania górnicze. Rojno tu i gwarno od dzieci, które całemi gromadami snują się po ulicach. Te dzieci zdrowe, silne i rumiane są przedmiotem pożądania Francji. One to mają uzupełniać deficyt ludnościowy naszej sojuszniczki. O te dzieci toczy się cicha, ale nieubłagana walka. Każdy emigrant ma bowiem do wyboru albo wrócić do kraju, albo też zostać we Francji i naturalizować się, t. zn. uzyskać obywatelstwo francuskie.

Ale górnicy są twardzi do wynarodowienia. Wielu z nich nie widziało Polski od dziesiątek lat, zapomnieli oni mowy ojczystej, mówią jakimś dziwnym żargonem, będącym mieszaniną niemieckiego, francuskiego i polskiego, ale każdy z nich marzy o jednem....

— Cóż zamyślacie robić, jak się dorobicie — pytam starego górnika — który właśnie wrócił z pracy i pochylił twarz uznojoną nad talerzem zupy.

— Co robić, ano wracać do Polski. Wiecie panie, mnie się tu nie widz. Jabym chciał mieć kawałek gruntu, chałupę i ogród, wszystko jedno gdzie, choćby na kresach.

— A dzieci wasze?

— Ee dzieci. Córka wyszła za Francuza, a syn pewno tu też zostanie, jest szoferem.

Zapraszam górnika na poczęstunek, ciągnąc go do pierwszego z brzegu estaminetu, czyli winiarni, względnie restauracji, od jakich się tu roi. Ale górnik nie spieszy się.

— Chodźmy panie do swojego.

Za chwilę siedzę w gospodzie Poznańczyka (zdaje się Marciniaka) i piję polską wyborową i zagryzam kiełbasą.

Już to bowiem wędliny umieją robić tylko w Polsce. I wogóle po kuchni francuskiej, do której zresztą nasze Maćki i Bartki jakoś nie mogą się przyzwyczaić, po tych wszystkich sałatach i przystawkach, polski barszcz i kotlet wieprzowy z kapustą i ziemniakami smakuje, że strach.

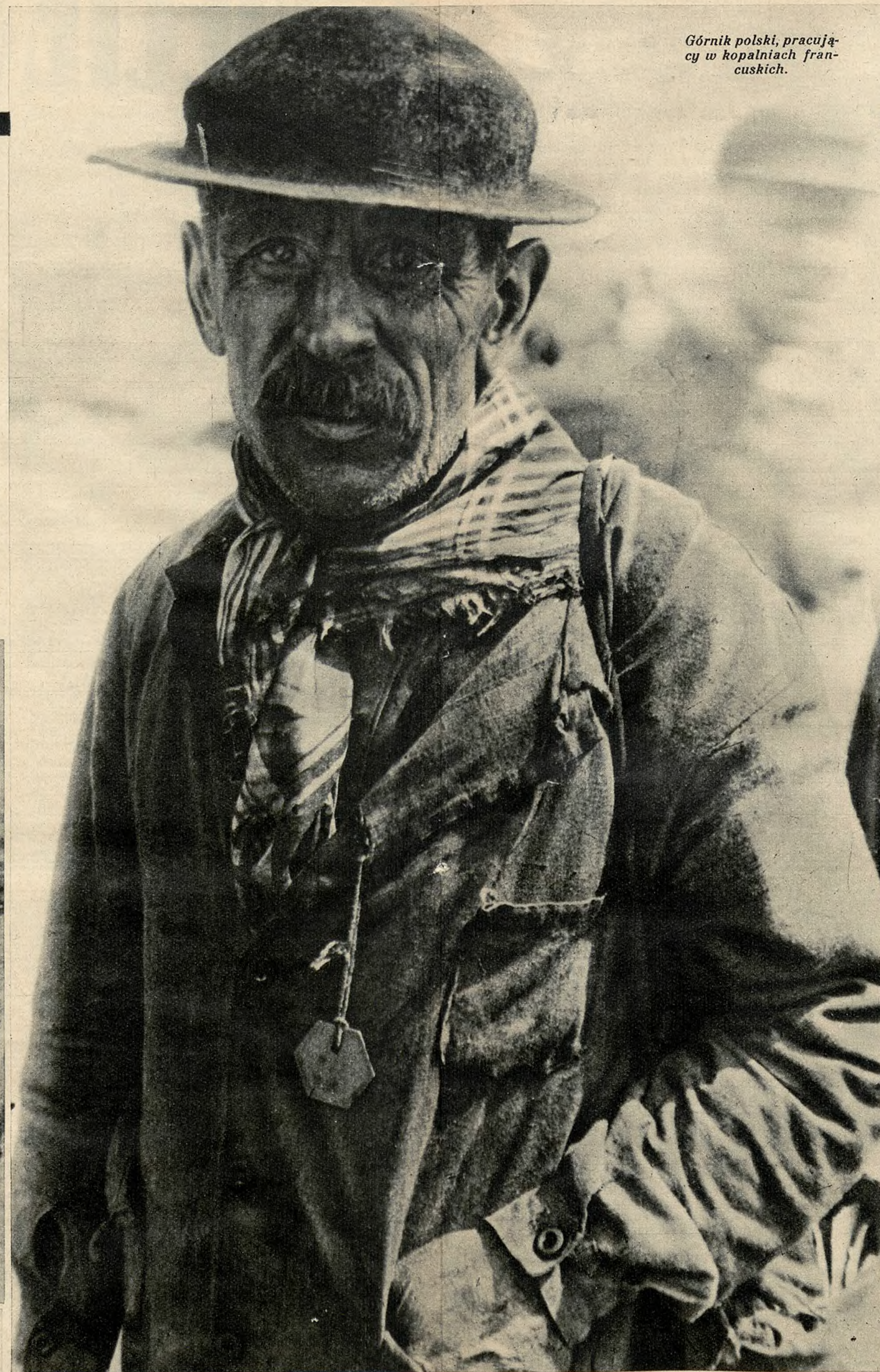
Ale czas spieszyć się na dworzec, bo za chwilę odchodzi pociąg do Paryża. Żegnam się więc z moimi górnikami i ściskam ich twarde, spracowane dłonie.

— Pozdrówcie panie od nas, tę naszą Polskę kochaną, dolatują mnie słowa, gdy pociąg już rusza.

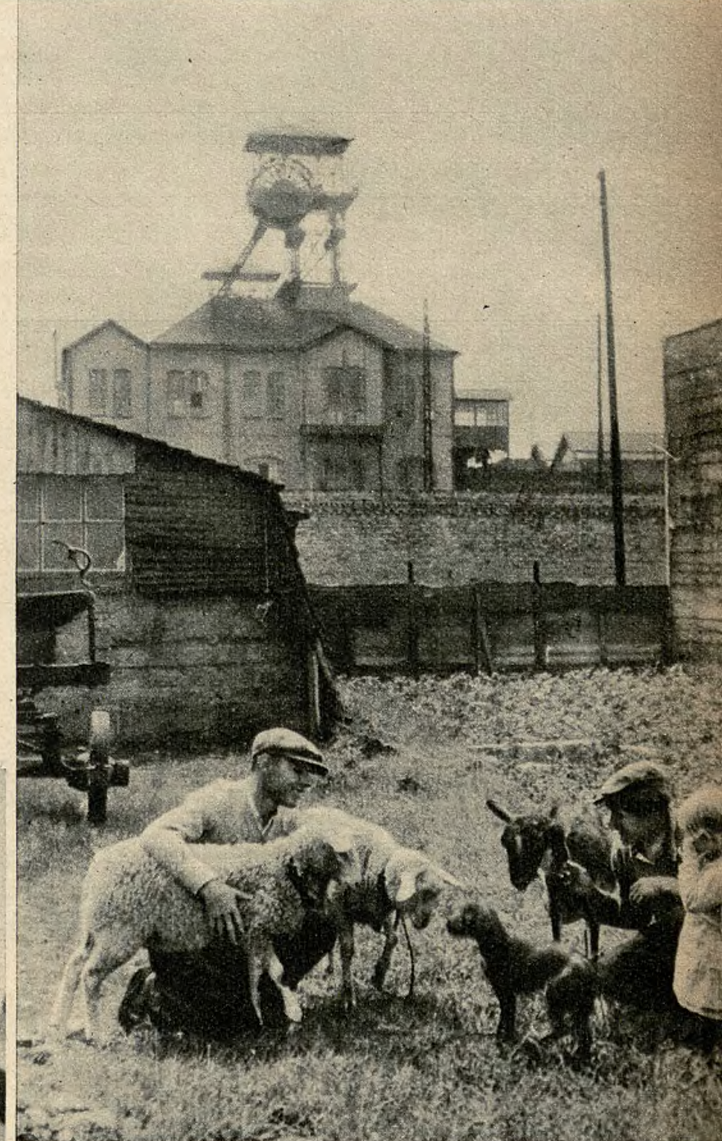
A. B. (Lille).



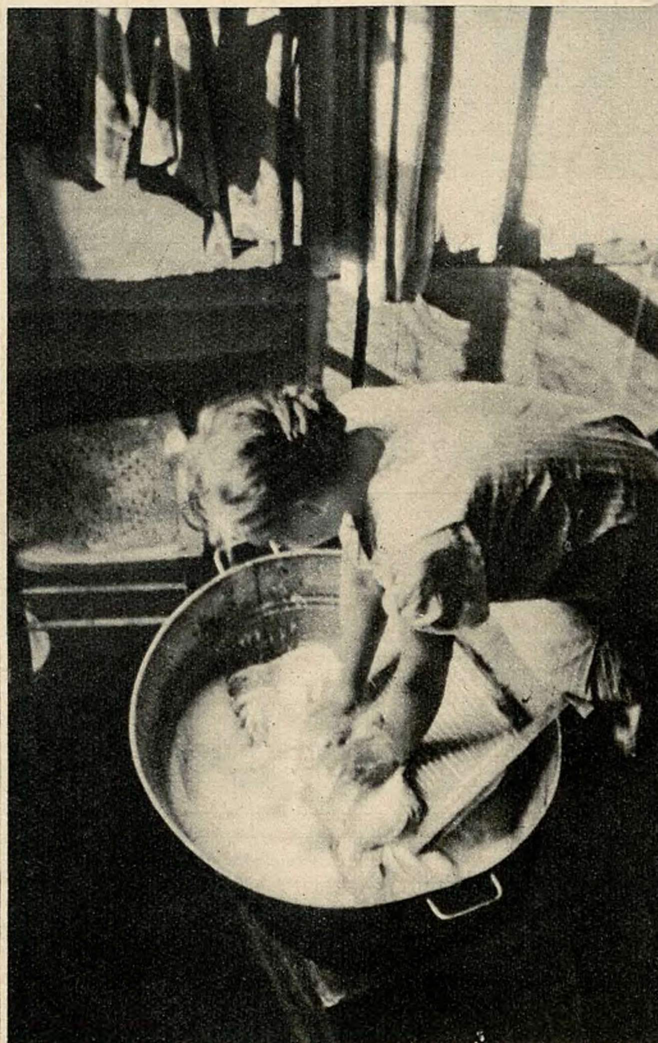
Widzisz Zosienko, mówi matka do swojej córeczki. W Polsce, której jeszcze nie widziałaś są po domach wiejskich także takie ładne i miłe króliki.



Górnik polski, pracujący w kopalniach francuskich.



Na płowej, wyżółkłej trawie, obok kopalni węgla pasą się baranki polskich górników.



Żona górnika piorąca bieliznę.



Kolonja domków górników polskich w Gayant w pobliżu Douai we Francji.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA PHOTO RAP—PARIS.

WYŚCIGI W ŁODZI.

Napisał M. WARSZAWSKI.





Ogonki przed kasą. Aleksander Meyer — Łódź.



Na trybunie właścicieli zebrała się elita towarzyska Łodzi i stolicy. M. i. widoczni: pp. hr. Komorowska Krystyna, hr. Komorowski — prezes Warsz. Tow. Wyścigowego, oraz prezesowie Stefan i Karol Enderowie z małżonkami. Fot. „Światowid".



Defilada koni przed biegiem. Aleksander Meyer — Łódź.



Świetny artysta teatrów łódzkich i stały bywalec na wyścigach J. Mroziński z zainteresowaniem śledzi bieg swojego faworyta. Fot. „Światowid".

Olbrzymie tereny wyścigowe pod Łodzią zalewają fale ludzkie. Kogóż tam nie ma. Arystokracja i plutokracja łódzka, inteligencja, fabrykanci wełny, bawełny, świat aktorski, palestra łódzka, oficerowie, kupcy, przystrojeni odświętnie rzemieślnicy, licznie reprezentowani urzędowo wyglądający i odznaczający się specjalnie fachowym poglądem na kwestje wyścigowe panowie szoferzy, coś jakby koledzy po fachu czynnych aktirów wyścigów — dżokejów, fryzjerzy, jednem słowem szara masa ludzka. Wyścigi i „totek". Dwa magiczne słowa.

Łódź, dla której wyścigi o pieniądz są chlebem codziennym, zasmakowała w wyścigach, w grze w „totka", w emocjach stawiania na „fuksa". Ludzie, którzy całe życie handlowali uczciwie bawełną i których styczność z końmi ograniczała się dotąd do jazdy wychodzącą już z obiegu dorożką, poczuli się nagle znawcami sportu końskiego. Dzień poprzedzający biegi spędzają na lekturze „białej i czerwonej", kalkulacji, naradach w ścisłym gronie fachowców i najbliższej rodziny. Fachowcy wyścigowi urośli na miarę znakomitości i cenieni są na wagę złota. Doradca wyścigowy stał się tem... no, nie przesadzam... czem 4-ty do bridża. Jak Boga kocham!

Nieliczni oficerowie konnicy bawiący w Łodzi są rozrywani. Wtajemniczeni twierdzą, że nawet dorożkarze proszeni są o fachowe porady.

Łodzianie, jako ludzie, którzy handel i kalkulacje mają we krwi, przygotowują się bardzo starannie do walki z zawodnym „totkiem".

To są przygotowania do wyścigów. A jak jest na polu walki?

* * *

Pan w meloniku, w sztylpach. Białe rękawiczki. Wielki mag wyścigowy. Warszawiak. Obok — gromadka kibiców.

„Mówię Panom w największej tajemnicy, mam poufne informacje. „Dzidka" ma pierwsze miejsce murowane. Jedzie na niej Iksiński. W Warszawie brał wszystkie największe biegi. Postawić zgóry. Ryzyko żadne".

Kibice znikają przy kasach. Na poczekaniu zawierają się spółki. Po 2, 3, 4 i mniej złotych udział. Ile kto ma. Totek wabi.

Warszawski mag wyścigowy wędruje od grupki do grupki. Raz wraz rozlega się jego dyskretny, fachowo-obojętny szept: „Mówię Panom w największej tajemnicy, mam ściśle poufne...

* * *

Dzwonek. Konie na start.

Tłumy pędzą do ogrodzenia. Zobaczyć zbliska faworytów, ocenić wady i zalety wybrańców, obliczyć szanse możliwości końskich pomnożonych przez umiejętność jeźdźca, wielką niewiadomą — szczęście, i inne „poufne" czynniki. Wybór dokonany. Fala odpływa od kas.

* * *

Próbny bieg. Spostrzeżenia i uwagi.

„Konia ma dobrego, sam nieźle siedzi, ale czego się ta cholera śpieszy? Kobyłę na nic zmorduje. Przecież to próbny bieg. I stawiaj na bałwana" — denerwuje się starszy pan w czarnym surducie.

„Co się Pan tam znasz? Z takim koniem to nie na ten bieg. Dystans Panie za duży. Spuchnie po kilometrze" — dyskutuje fachowiec w czapce sportowej.

„A właśnie, że dla niego. Dziś Panie po deszczu, ziemia mokra, ciężkie konie spuchną, a ten szczupak wszystkie przegoni, zobaczy Pan.".

Ano, zobaczymy.

* * *

Bomba do góry. Start. Zepsuty. Potem jeszcze jeden. Tłum zamarł w oczekiwaniu. Nakoniec ruszyli. A-a-a. Jadą. Coraz bliżej.

„Ósemka na przedzie" — krzyczy jak zwarjowany jakiś jegomość na trybunie.

„Nie ósemka, szóstka, oczu Pan niemasz! Właśnie że ósemka. Szóstka. Czwórka".

„Dzidka! Dzidka! Dzidka. Sułtan. Sułtan. Burłaj... Burłaj, Burłaj, Burłaj! Brawo! To ci jest koń ten Burłaj! Ale go wziął".

„A pan żeś stawiał na Dzidkę, tę chudą klacz? Niezła Panie, niezła, ale zmienna jak kobieta i gdzie jej wogóle do Burłaja. Mnie się trza było spytać".

„Ile też dadzą za Burłaja?"

„Co?! za taki bieg 6 zł. francuski. A niech go ciężka cholera! Myślałem już, że się odkuję za tamtego „fuksa!"

„Ale pańskie informacje, to niech djabli! W Warszawie też Pan tak grałeś?"

„Dzidka i Dzidka. Żadnego ryzyka. Masz Pan pańską Dzidkę. Kto u djabła starego kazał mi Pana słuchać!"

„W Warszawie korzystał z moich informacyj hrabia P., książę L. i minister Y. Grając do spółki z bankierem Cielińskim, wygrałem w zeszłym tygodniu 8 tysięcy na Jordana. Dzisiejszy bieg był fatalny. Dzidka zapóźno wyszła ze startu.

„Ale, ale... Mam informacje z pierwszej ręki. W tym biegu jedzie Gigolak na Gagatku. Koń fenomen. Pierwsze miejsce murowane..."

Kibice składają się. Idą do kas.

* * *

Krytyczny widz. Wstrzemięźliwy. Głaz nie człowiek.

„Panie, w totka, to chyba warjat może grać, a nie poważny panie, człowiek. Czyste szaleństwo, panie, czyste. Ja, panie, nigdy, nigdy nie gram! Pan sam tu. Tak? No, to Panu dobrze. Ja, panie z moją starą, siedzi na trybunach, ta w zielonym. Gra, a jakże.

Co? już ruszyli! Jakoś prędko. Dobrze idą. Tylko gdzie ten Grzybek! Choroba na samym końcu.

„No tak. Teraz do mety. A żeby go nagła krew. Czego się denerwuję? Co mnie to obchodzi? A to sobie dobre! Nie grałem? Kto Panu powiedział, że nie grałem? Dlaczego nie miałem grać? Też pomysł!... Ostatnie dziesięć złotych. Tylko — radco złoty, cyt przed moją babą... A teraz może do spółki na Frajera, jak Pan myśli?"

* * *

Galerja. Prym wodzą szoferzy. Próbny bieg.

„Gazu, byku jeden, gazu! A to świńskie ryło! Siedzi na koniu jak konny policjant! To ci dżukiej! Że taką małpę puszczają na tor".

„Jadą, jadą! Ale kary guni, no! no! Siódemka pierwsza, brawo siódemka! Mówiłem na karego! Chwacko go wziun.

„A ten dżukiej, to cwaniak! Na próbnych to podegrywał ufermę, a teraz jak się puścił, to ani, ani. Taka śpekulacja, choroba".

* * *

Koniec wyścigów. Tramwaje dojazdowe zawalone.

Konduktor: „Proszę o bilety!" Ile? 30 groszy! „I jak ma tu do was przyjechać — pieni się wielki mag — gość z Warszawy! Bilet, wejście i jeszcze 30 gr. za tramwaj!"

„Józiu! Dużoś przegrał?"

„Około pięćdziesiątki, ale jutro się odbiję. Wszystko stawiam na Freję".

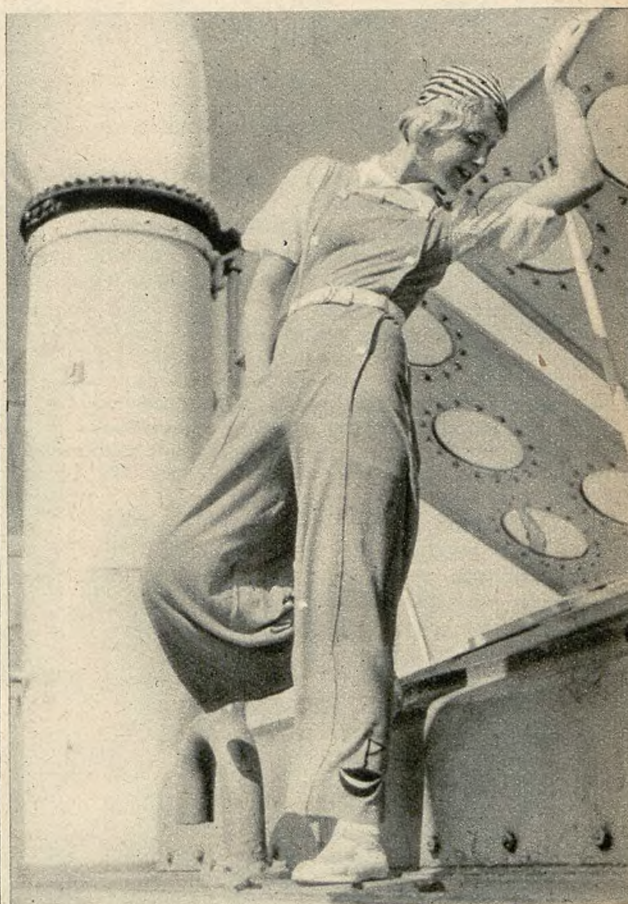
„Ale a propos. Co słychać z bawełną? Znowu mocniej? A dolar, jak dziś?"

Łódź wraca do codziennych zajęć.

Na modrych falach

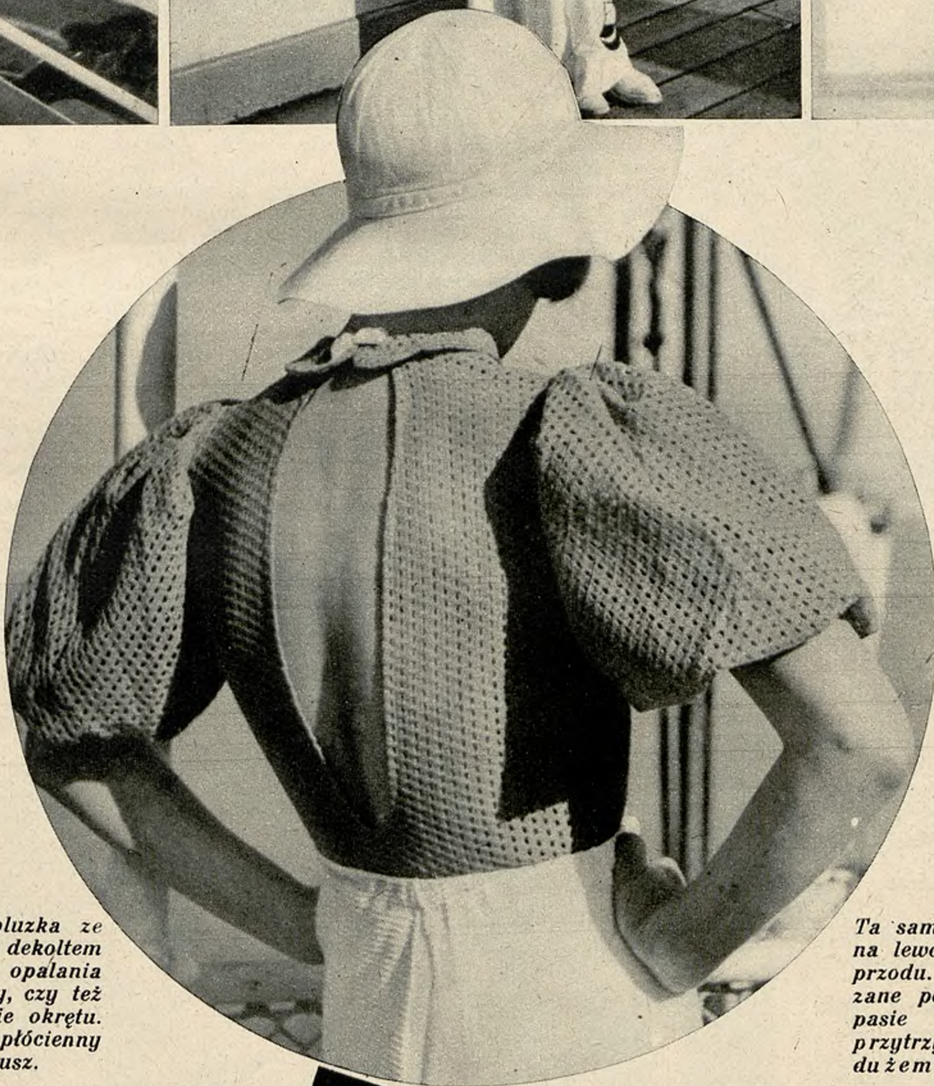






Pyjama marynarska z białego prążkowanego płótna z kolorowem bolerkiem o oryginalnym kroju. Biała czapeczka włóczkowa.

Pyjama z barwnego płótna, krojona razem ze staniczkiem. Nosi się do niej białe bluzeczki batystowe lub szydełkowe z włóczki.



Ażurowa bluzka ze specjalnym dekoltem pleców dla opalania się na plaży, czy też na pokładzie okrętu. Praktyczny płócienny kapelusz.

Ta sama pyjama co na lewo, widzina od przodu. Bolerko wiązane pod szyją i w pasie na szarfę, przytrzymującą plecy dużemi guzikami.

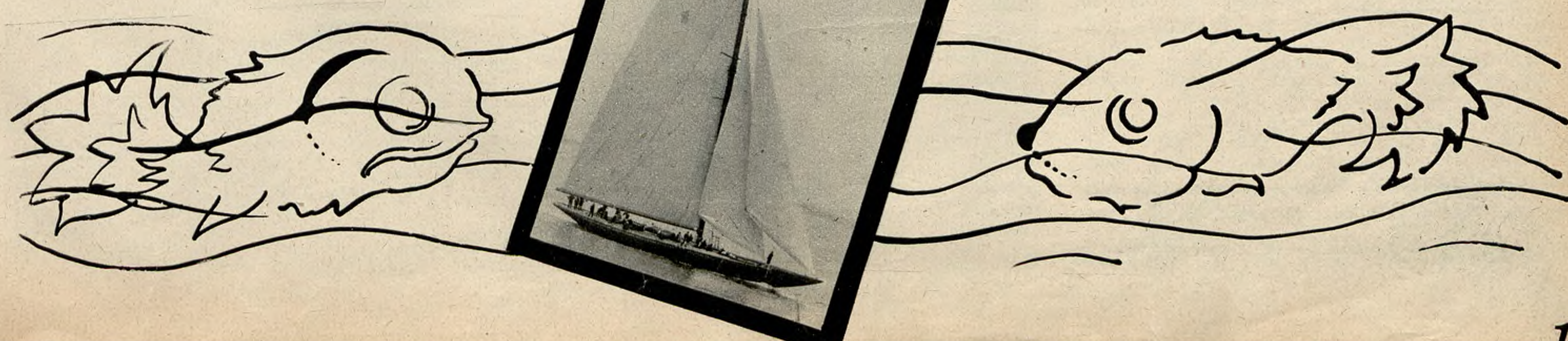
Wśród licznych rozkoszy lata, które w pełni słonecznych promieni darzy nas wypoczynkiem w cieniu drzew, obciążonych dojrzewającym owocem, lub nad brzegami rzek i mórz, gdzie wiatr i słońce opalają nam ciało, znajdują mniej liczni szczęśliwcy sposobność wypłynięcia na pełne morze w luksusowych statkach. Urządzone ku wygodzie turystów, szukających wypoczynku w zupełnem oderwaniu się od normalnego biegu życia, spełniają takie okręty rolę nowoczesnych hoteli, tętniących pełnią towarzyskiego życia.

Dla pięknych pań jest to jedna z najlepszych sposobności roztoczenia uroku osobistego i swych tualet, których na morzu potrzeba w różnorakich rodzajach. Obok wielkiej swobody pasażerów panuje bowiem na statku zazwyczaj wyszukana etykieta i trzeba przebierać się kilka razy dziennie i na lunch i do obiadu oraz na dancingi i reuniony. A już kapitański obiad daje sposobność do roztoczenia całego blasku wielkiej balowej tualety.

Większość dnia na statku spędza się oczywiście na pokładzie. Na te godziny ubierze pani plażową pyjamę, której krój coraz bardziej staje się praktyczny i przystosowany do opalania się. Leżąc na leżaku, czy spacerując po pokładzie spędza się czas na miłej sieście morskiej. Gdy jeszcze statek wyposażony jest w basen kąpielowy, można się ochłodzić każdej chwili w wodzie morskiej, czerpanej świeżo z fal oceanu. Na ten cel bierze pani w podróż morską kostjum kąpielowy i płaszcz.

Nie można pominąć przy ekwipunku morskim ładnego szlafroczka i odpowiedniej ilości pantofelków codziennych, domowych, gumowych do kąpieli, jak niemniej i wytwornych balowych. Nierównie ważne są lżejsze i cieplejsze szale, któremi miło się będzie otulić w chłodniejszy wieczór czy noc, poświęconą kontemplacji gwiazd lub oczekiwaniu na cudowny na morzu wschód słońca. A że życie towarzyskie pozostawia na morzu dużą swobodę można wiele czasu poświęcić na obserwowanie przyrody. Wiadomo przecież, jaki to kojący wpływ na stargane nerwy dzisiejszego pokolenia wywiera kontakt z morzem, obserwacja zmian jego nieskończonej dali pokrytej pianą fal, układających się rytmicznie na powierzchni wody, kołysanej powiewem wiatru. Oby tylko podróże morskie stały się jak najprędzej dostępne wszystkim, potrzebującym wytchnienia po nerwowej pracy zawodowej.

J. Z.



POLSKA W GÖDÖLLÖ.

Mała zaciszna miejscowość węgierska Gödöllö tętni osobliwem życiem.

Ze wszystkich stron świata zjechała się tu młodzież z pod znaku skautowskiej lilji, by święcić swe Jamboree, by przy obozowych watrach zapoznać się wzajemnie, pogwarzyć na temat przyszłych spraw i zadań, by poszczycić się przed światem swoim dorobkiem.

Komendy poszczególnych obozów mieszczą się w bardzo oryginalnych domkach, budowanych w stylu regjonalnego budownictwa poszczególnych krajów. Widzimy chaty węgierskie, chaty norweskie, młyny holenderskie itd.

Sąsiedzi zawierają z sobą bliższą znajomość, składają sobie wzajemne wizyty, pomagają sobie czem i jak mogą. Na drogach i ścieżkach obozowych widzi się zaprzyjaźnione międzynarodowe grupki. Spacerują mili przyjaciele, dzielą się spostrzeżeniami i wrażeniami, śpiewają, dokazują, zwyczajnie jak młodzi.

„Akcja wymienna" w całej pełni... Nowi przyjaciele wymieniają pomiędzy sobą odznaki, chustki, krajki, paski, a przedewszystkiem znaczki pocztowe. Zdaje się, że na zlot najwięcej przybyło filatelistów.

Najefektowniej, tak „na pokaz" i najbardziej „pańsko" przedstawia się grupa Amerykanów.

Twórca harcerstwa lord Baden-Powell, dosiadający konia w Gödöllö.

Mogą sobie na wiele pozwolić, albowiem dysponują sumą 250 dolarów na głowę. Inne narody są bardziej skromne i skromniejszemi dysponują środkami.

W obozie polskich harcerzy wre nader bujne życie. U bramy obozu na dużej desce umieszczono „dziennik", który podaje codziennie wiadomości obozowe. Nader malowniczo na tle olbrzymiego obozowiska skautowego wyglądają polskie regjonalne stroje ludowe. Widzimy tu całą Polskę od Tatr aż po Wileńszczyznę i morze, od Wołynia aż po Śląsk.

Skauci czechosłowaccy wybudowali małą morawską wieś, a obok niej stanęło oryginalne miasto namiotowe.

Każdy naród innemi barwami i innemi ozdobami pomalował ściany swych wigwamów.

Wieczorami przed wzorzystemi namiotami siedzą koło ognisk ludzie mający swe radości, swe oryginalne troski i kłopoty, swe odrębne zainteresowania, jakże nieraz różne od tych, które nas kiedyś ożywiały.

W Gödöllö dokoła totemów skautowych zasiadło nowe pokolenie Europy.

W dniu otwarcia Jamboree kolorowy pochód ruszył przed dostojnikami i głową państwa węgierskiego, przed zwierzchnikami skautingu z sędziwym Baden-Powellem na czele.

Defilada skautowa w Gödöllö!

Maszerowały wielotysięczne szeregi w takt nakazów wielkich przykazań skautowych, wskrzeszających dawne cnoty rycerskie, maszerowały jak falangi wojowników, realizujących nowe ideje.

Wszystko jednakowo szare, przetykane jedynie barwnemi flagami i plamami chustek owiniętych dokoła szyj.

Szli w długich zwartych szeregach Francuzi, za nimi Belgowie, Rumuni, Armeńczycy i Syryjczycy w fantastycznych zawojach na głowach.

Za nimi postępowali boys U. S. A. Zdrowi, przybrani w nienaganne mundury, jednolicie wyekwipowani, powiewali gwiaździstemi sztandarami swego kraju. Potem maszerowali wysocy, smukli, jasnowłosi Skandynawowie. Szła grupka japońska, prowadzona przez dwóch siwowłosych panów w mundurach admiralskich.

Stare i młode pokolenie Japonji kroczyło w jednym szeregu. Za wyspiarzami Dalekiego Wschodu kroczyli wyspiarze europejscy, kroczyła cała Anglja, zgrupowana w kolonjach i dominjach. Tryskający zdrowiem i radością młodzieńczy brytyjski wyrzucali w górę kapelusze przed swym Bi-Pi (Baden-Powell). Szli piękni, rośli Australczycy, kroczyli Irlandczycy i Szkoci w narodowych spódniczkach. Ciemne twarze Hindusów odbijały od kolorowych turbanów, szły szeregi z Malty, Gibraltaru, Palestyny, Egiptu, szły w rozmaitych zakątków Afryki i kanadyjskiego dominium.



Harcerki polskie w pochodzie przez ulice Gödöllö.

Zdaleka dochodzi nas szum, krzyk i jakaś burza szalejących oklasków.

— Eljen, Lengyel! Eljen, Eljen! Tłum szaleje dosłownie... To maszerują Polacy!

Nad głowami 1500 dzieci polskich wieją polskie flagi. Pozdrawiają sędziwego twórcę skautingu. Okrzykom niema końca. Sypią się na naszych zuchów kwiaty. Maszerują dumnie miarowym żołnierskim krokiem, jak stara wypróbowana gwardja. Aż za oczy chwyta ta barwność pochodu i te dziarskie zuchowate postacie. Węgrzy entuzjazmują się Polakami! Idą smukli górale, idą Kaszubi, idą grupy śląskie, łowickie, wileńskie, poleskie — maszeruje cała Polska.

— Eljen, Lengyel! Brzmi jeszcze długo za nimi... A tu nadciągają Szwedzi, maszerują Czesi, Słowacy, Tyrolczycy, Szwajcarzy, Grecy, Hiszpanie, Finnowie, Bułgarzy, a wreszcie smutna grupa młodzieży rosyjskiej emigracji. Defiladę zamykają nieprzejrzane szeregi młodzieży węgierskiej.

Z nieba uśmiecha się ku tym młodym szeregom dobrotliwe słońce, grają triumfalnie kapele, a z trybun sypią się na młode głowy kwiaty...

A potem żywiołowy hołd twórcy skautingu!

W pewnym momencie pękły karne szeregi i 30.000 młodzieży ruszyło biegiem w stronę ukochanego generała. Setki sztandarów wszystkich narodów stłoczyło się przed pierwszym skautem.

Wieczorem miasto skautowe płonie ogniskami obozowemi. Wokół polskiej watry zasiedli goście ze wszystkich stron świata. Witano ich serdecznie, gościnnie, tak prawdziwie po polsku. Pokazano im nasze tańce, śpiewano polskie pieśni. Nie mogli się nacieszyć i nadziwić... A potem zabrali główne z polskiej watry i przyrzekli w domu u siebie temi głowniami rozniecić pierwsze obozowe ognisko.

Baj.

PRZEZ PUSZCZE BRAZYLIJSKIE DO IGUASSU

NAJWIĘKSZEGO WODOSPADU ŚWIATA.

Do dziś dnia jeszcze rozpowszechnione jest mniemanie, że największym wodospadem świata jest Niagara. W rzeczywistości ta „królowa wodospadów“ dawno już została zdetronizowana, albo mówiąc jeszcze nowocześniej, rekord jej został pobity i to dwukrotnie. Oto wymiary trzech rywali:

Iguassu: wys. 85 m., szer. 3.500 m., przepływ wody 1,000 000 m^3 na 1 min.

Victoria: wys. 120 m., szer. 800 m., przepływ wody 800.000 m^3 na 1 min.

Niagara: wys. 48 m., szer. 1.600 m., przepływ wody 650.000 m^3 na 1 min.

Zachodzi pytanie, skąd to niesłychane rozsławienie Niagary przy tak kompromitującem porównaniu? Otóż po pierwsze, tak bywa nietylko wśród wodospadów. Po drugie Niagara znajduje się na terenie cywilizowanym, jest łatwo dostępna i stanowi popularną wycieczkę niedzielną dla miljonów mieszczuchów. Gdyby więc miarą wodospadu była ilość nie przepływającej wody, a zwiedzających turystów, zachowałaby niezbicie pierwsze miejsce.

Nazwa Iguassu oznacza w indyjskiem narzeczu „guarani“ — wielką wodę. — Rzeka Iguassu, dopływ Górnej Parany, bierze początek we wzgórzach Kurytyby, w południowej Brazylji. Zebrawszy wody mnóstwa dopływów, w odległości 20 km. powyżej ujścia rozgałęzia się na wiele odnóg i prawie czterokilometrowem pasmem kaskad spada do dolnego łożyska. — 2/3 wodospadu należą do Argentyny, 1/3 do Brazylji.

„Asuncion“, doskonale zbudowany i urządzony parowiec opuszcza port Buenos Aires i poprzez żółte wody La Platy zmierza ku ujściu Parany. Szerokość dolnego biegu Parany jest olbrzymia. Pierwszego dnia żeglugi widać jeden tylko brzeg oraz niezliczone wyspy, pokryte fantastyczną roślinnością. Mijamy kwitnące miasta: Rosario, Santa Fe, Parana.

Po trzech dniach przybywamy do Corrientes. Tu łączą się dwie rzeki, tworzące Paranę: Alto-Parana i Paraguay. Przesiadamy na stateczek „Ituzaingo“, będący dokładną minjaturą „Auncion“. Odbywa on co dwa tygodnie podróż do ujścia Iguassu.

Natychmiast po opuszczeniu Corrientes krajobraz zmienia się. Rzeka znacznie węższa, brzegi pokryte wspaniałym lasem podzwrotnikowym, na ławicach wygrzewają się małe aligatory, w gąszczach wysepek kryją się pumy i jaguary. Brzeg południowy należy do Argentyny, północny — to „ogród Ameryki“, Paraguay.

Poszukiwacze t. zw. „uroku romantycznego“, jedźcie na wiosnę (t. j. w październiku) do Paragwaju! Nigdzie nie zobaczycie takiej powodzi kwiatów. Nigdzie nie spotkacie tylu tak pięknych kobiet. (Jakaś wyjątkowo szczęśliwa mieszanina jednej kropli krwi hiszpańskiej na trzy krople „guarani“). Nigdzie piękne kobiety nie palą przez cały dzień tak podłych cygar, plując na nieprawdopodobne dystanse. Nigdzie mężczyźni nie galopują z tak długiemi nożami za pasem i z ostrogami na bosych nogach. Na pewnej przystani napędzają nam na pokład z pół setki takich gości. Przepuszczają ich pojedyńczo, odbierając im noże. — W całej Argentynie nazywają rzezimieszków „correntino“, a w Corrientes — „paraguayo‘. Mimo całą dzikość mają oni jednak przedziwną kurtuazję dla wszystkich tych, którzy im nie włażą w paradę. (Ach ta kropla hiszpańska!).

Znacznie mniej „romantycznym“ elementem są tu Indjanie pełnej krwi. Odgrywają oni tu rolę podobną do naszych cyganów: tak samo koczujący, brudni, nieufni i kradnący co się da. W pobliżu osad obowiązują ich przepisy policyjne o minimum garderoby, które jednak chętnie przekraczają.

Piątego dnia mijamy ostatnie placówki cywilizacji. Po stronie argentyńskiej — Pasadas, po paragwajskiej — smutny widok Villa Encarnacion, miasteczka, na krótko przed naszem przybyciem dosłownie rozwalonego przez trąbę powietrzną.

Ostatnie trzy dni żeglugi są bajką czarodziejską. Rzeka zwęża się zupełnie, a las potężnieje. Płyniemy tak blisko brzegu, że statek rzuca cień na zbitą gestwę leśną. Zwał pni, olbrzymich paproci i ljan uniemożliwia wejście na krok bez użycia siekiery.

Kilkakrotnie puszcza rozstępuje się i odsłania kolonijkę: wykarczowana polana, kilka budynków i przystań. Osadnicy radośnie witają „Ituzaigo“, wysłańca świata. Walka z naturą i klimatem bardzo tu jest ciężka, nie wszyscy wychodzą z niej zwycięsko.

Wreszcie ósmego dnia podróży przybywamy do Puerto Aguire. Maleńka licha osadka. Tu początek wyciętej w dżungli 20-kilometrowej drogi zw. „Avenida Victoria Aguirre“. Przebywamy ją konno. Niema chyba cudowniejszej przejażdżki. W lesie cisza przerywana czasem brutalnym wrzaskiem papug. Wkrótce daje się słyszeć pomruk jakby dalekiej burzy lub kanonady: to Iguassu. Stopniowo pomruk przechodzi w potężny łoskot, wreszcie otwiera się przed nami obszerna wykarczowana po-



Typy Indjanek z Ameryki Południowej.

Wodospad Iguassu, największy na świecie. Znajduje się on na rzece Iguassu, lewym dopływie rzeki Parany w Brazylji.

PRZEZ PUSZCZE BRAZYLIJSKIE DO IGUASSU

(Ciąg dalszy ze strony 13-tej).

lana, a na niej — jedno z najczelniejszych wyzwań, rzuconych przez człowieka naturze „Hotel Iguassu".

Nielada to czyn w odległości trzech dni drogi od najbliższego miasta wyciąć kawał dżungli i postawić hotel, zaopatrzony we wszystkie szykany nowoczesnego komfortu! Czytam w „Baedekerze" Argentyny z 1913 roku: „Dla podróżnych znajduje się w Puerto Aguirre „Hotel de las Cascadas", posiadający jadalnię oraz dwie sypialnie: dla panów i dla pań. Turystom, przyzwyczajonym do wygód, radzimy zaniechać podróży do Iguassu". Prawda, wyczyn był lepszy, niż interes, hotel stanął o 50 lat za wcześnie, ledwo zipie, co pewien czas plajtuje i zamyka. W lecie nikt nie przyjeżdża, bo czegoby mu słońce nie przepaliło, toby moskity i pchły piaskowe pogryzły. W innych porach roku ruch powoli wzrasta, coraz głębiej przenika topór w głąb niegościnnego lasu, coraz inne części wodospadu zostają udostępnione.

Ogarnąć wzrokiem cały wodospad możnaby oczywiście tylko z samolotu. Oddzielne kaskady i ich grupy noszą nazwy: „Św. Marcin", „Dwie siostry", „Trzech muszkieterów", „Adam i Ewa", „Gardziel djabelska" i t. d. Dostęp do niektórych jest łatwy, do innych bardzo trudny, wymagający wielogodzinnego gramolenia się po śliskich, jak lód głazach pod gęstym prysznicem, jeszcze inne — pozostają narazie niezdobyte.

„Picada" (wycięta ścieżka) prowadzi nas nad krawędź odsłaniającą kilometrowy przeszło pas wodospadu. Widok oszołamiający, przechodzący wszelkie wyobrażenie. Wszystkie kaskady załamują się w połowie o wystającą podstawę skalną. Wytworzona przez to olbrzymia kurzawa pyłu wodnego rozszczepia światło słoneczne tak, że wodospad otoczony jest stale łukiem tęczy. A dokoła przepych podzwrotnikowej roślinności.

„Gwoździem" podróży jest wyprawa do „Gardzieli djabelskiej" („Garganta de diablo"). Oto dwuch miejscowych dzikusów podejmuje się przewieźć sześciu międzynarodowych snobów łódką nad samą krawędzią wodospadu na wysepkę, stanowiącą niejako „mały języczek" tej gardzieli.

Los przeznaczył mi na towarzyszy dwóch jankesów, dwóch Niemców i Hiszpana. Na przewodników — Pancho i Checho. Towarzysze zasługują na nieuwagę, natomiast przewodnikom należy się tu nieco miejsca.

Pancho i Checho są stuprocentowymi gaurayosami koloru miedzi. W stanie zwykłym tresura ich nie pozostawia nic do życzenia. W stanie wzruszenia duchowego (o co nietrudno) — wywracają białka oczu i kraczą, jak sto wron. Cecil de Mille stanowczo nie pozwoliłby im się tak „zgrywać". — Pancho i Checho nigdy nie widzieli miasta, ani nawet większej osady. Mieszkają w głębi lasu w szałasie wraz z żonami. Wkrótce jednak, jak nas informują, ma nastąpić przełom w ich życiu: uciułali sobie trochę „propinas" (napiwków) i przenoszą się na stałe do Posadas. Pytamy, czy żony bardzo się cieszą. — Nie bardzo, ponieważ je zostawiają. — Czy w lesie? — „Como no" (oczywiście). — A co się z niemi stanie? — A skąd oni mogą wiedzieć? — Czy są złe? — Przeciwnie, na tutaj dobre, ale „para la ciudad no sirven" (do miasta się nie nadają). Niestety nie było czasu na odwiedzenie i obejrzenie pań Panchowej i Chechowej.

Pod opieką tych oto kawalerów wyruszamy w drogę do „Garganty". W odległości pół kilometra powyżej wodospadu wsiadamy do łódki. W środku rzeki woda już rwie, jakiś czas manewrujemy osłonięci przez półwysep w pasie spokojniejszym, poczem wjeżdżamy we wrzątek.

O wiosłowaniu oczywiście mowy być nie może, przytrzymuje się łódkę drągami wpieranemi w dno. Nasze guarayosy znają każdą piędź dna, wiedzą gdzie płytko. Kilkakrotnie wysiadamy z łódki na katarakty i posuwamy się skacząc z kamienia na kamień, podczas gdy guarayosy przeprowadzają łódkę dokoła. Przy wszystkich tych manewrach komenderują oni nami ostro, nawet czasem popychają, i aż miło patrzeć, z jak pokorną skwapliwością wykonywamy wszystkie rozkazy. W pewnem miejscu drąg dna nie sięga. W miejscu tem przewodnicy przeprowadzili linkę między dwiema kataraktami. Linkę tę chwytają dwie pary bronzowych rąk, stopy mocno wparte w dno łódki, a dokoła woda warczy i ciągnie z niesamowitą siłą. Jakkolwiek wypadków przy „fachowo" zorganizowanej przeprawie niema, to jednak ta zupełna zależność od naprężonych mięśni miedzianych dzikusów nie jest pozbawiona emocji. Opowiadają o wielu ofiarach „Garganty"; laików, próbujących się przeprawić się „na własną rękę" pożera jak smok. Ale nasi dzicy są niezawodni i oto „złapali" prąd, który zanosi nas na małą wysepkę, cudem jakimś zawieszoną nad samą huczącą otchłanią „Gardzieli djabelskiej".

Próba opisania grozy i mocy tego widowiska byłaby beznadziejną. Ot, jedno z najwspanialszych objawień natury. Kto zna burzę na oceanie, albo świat lodowców, ten wie co natura potrafi.

Inżynier amerykański wykłada projekt wykorzystania energji Iguassu, która wystarczyłaby dla elektryfikacji całej Argentyny. Na szczęście z odległości trzech kroków nie słychać ani słowa. Niemcy fotografują się nawzajem na tle wodospadu: „Ich und Iguassu".



Podzwrotnikowa puszcza w okolicy wodospadu Iguassu.



Indjanie brazylijscy.

Wtem Pancho i Checho tracą cierpliwość. Słońce już nisko, mają jeszcze psią robotę ani myślą dać się zaskoczyć przez zmrok na wodzie, dosyć też mają pocieszania żołądków, myślą o „churrasco".

Droga powrotna znacznie jest trudniejsza. Trzykrotnie zawodzi próba wydostania łodzi z wrzątku na spokojną wodę. Nerwy nasze słabną nieco. — Guarayosy walczą z wodą jak z żywą bestją.



Drzewo Mambi.

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej odwracają się role z chwilą, gdy turyści poczuli ziemię pod obcasami. Po krótkiej przerwie są znów „rasą panującą". Gaurayo spełnił swą powinność, guarayo może się utopić. Prawda, przed chwilą w jego rękach było nasze życie, zato teraz w naszych rękach — jego „propina". Skwitowanie odbyło się ku obustronnemu zadowoleniu.

Nazajutrz na pokładzie „Ituzaingo" znów słyszę o koszmarnych planach eksploatacji Iguassu. Ale pocieszam się: autor wyrażenia „tempo merykańskie" napewno nie miał na myśli Ameryki Północnej. Dużo więc jeszcze wody w nieujarzmionym Iguassu upłynie.

Adam Szpak.

Na wodnym szlaku.



— Nareszcie spełnione marzenie mego życia: sam na odludnej wyspie!...

Z tajników komunikacji.



— Naprawiaj prędzej tę lokomotywę; podróżny zaczyna się niecierpliwić!...

W redakcji.



Autor: Przesłałem panu zbiór dowcipów; czy czytał je pan już, panie redaktorze?
Red.: Już niejednokrotnie, drogi panie.

Miły zięć.



Ona: Nie widzę mamy już od godziny?!
On: Poszła zbierać kwiatki nad brzegiem rzeki; nie powinna być daleko, bo widzę jeszcze jej kapelusz...

SKOMBINOWANA HISTORJA.

— Straciłem mą posadę i jestem już także bezrobotny...
— A gdzie pan pracował?
— W biurze pośrednictwa pracy.

U CUDOWNEGO LEKARZA.

— Jeżeli podda się pan mej kuracji, dożyje pan 90 lat, jeżeli kuracja nie odniesie skutku, otrzyma pan z powrotem swoje pieniądze...

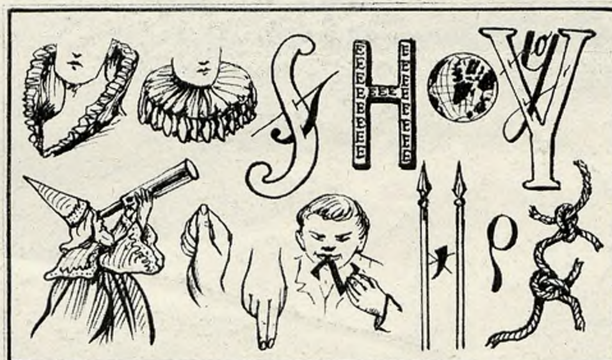
SZARADA KRYZYSOWA.

Ułoż. A. Sieczkowski, Wilno, czł. Warsz. Kl. Szar.)

Na egipskie bóstwo **drugie**
klnę się Szaradziści mili,
że już gorszej chyba w świecie
nikt z nas nie doczeka chwili,
jak obecna kryzysowa!
Gdy **wspak drugie-pierwsze-czwarte**
niosły w latach wielkiej wojny
śmierć, a ogniem ich przyparte
szły szeregi zbrojnych mężów
na zniszczenie, na zagładę —
nikt nie myślał, jakie skutki
(dziś to między wiersze kładę)
zbrojnych zmagań świat poniesie!...
Coraz bardziej, coraz ostrzej
Dziś szachuje kryzys srogi.
Już nie widząc drogi prostszej,
gdy mu zewsząd **pierwsze-czwarte**
głosi kryzys, gracz nielada,
człek strapiony głową na dół,
z wyższych pięter bruk spada.
Cóż ma robić biedaczyna,
gdy mu sekwestrator srogi
zabrał wszystko: palto, spodnie,
trzecie-czwarte, kalosz z nogi —
a sklepikarz zamknął kredyt,
drugie-czwarte dla biedaka!
Czyż została mu do życia
uczciwego droga jaka?
Wielka bieda ludzi nęka,
i jak straszna **pierwsza-druga**
w twarz zmarniałą nam zagląda
i złośliwem okiem mruga.
Oto obraz naszej doli
i już nic go nie upiększy,
nawet złota **druga pierwsza!**
Słowem, kryzys jest dziś większy,
niźli wola, niż zdolności
kierowników tego świata.
Może mnie dziś **trzecia-druga**
spotka z siostry ust lub brata,
ale stwierdzić tutaj muszę,
że szczęśliwsze są od ludzi
słonie, zebry, strusie **całe!**
I nikt niechaj się nie trudzi
udowodnić braku racji:
wszakże one tam nie wiedzą,
co to kryzys, brak gotówki...
brakiem butów się nie biedzą!...

REBUS.

Z. Tietza.



Za rozwiązanie powyższych dwu zadań Redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 26 sierpnia 1933 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 31.

SZARADA: Kanikuła — to pora lęgu kaczek dziennikarskich.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 31 nadesłali:

„Manfred"; „Wiesław"; Władysława Gajowa, Poznań; Leon Siuda, Poznań; „Erka", Warszawa; Kazimierz Mirowski, Katowice; Stanisław Borkowski, Katowice; Stanisław Borkowski, Katowice; Jadwiga Tyblewska, Poznań; Prakseda Cheś, Poznań; Marylka z Ino; **Kazimierz Pycio, Pabjanice** (zł. 20.—); Marja Szewiakowa, Wilno; Zygmunt Pieracki, Wilon; L. Domański, Kowal; Wiktor Kortylewicz, Poznań; L. Pogoda, Jaworzno; Czytelnia TSL. Węgierska Górka; Władysław Pędzimąż, Zakopane; „Wilnianin"; J. Stefańczyk, Pabjanice; Kazimierz Lilpop, Warszawa; Ludwik Magenhelm, Lwów; Andrzej Gajerski, Cieszanów; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Terena Zacherowa; K. Stankiewicz, Sosnowiec; Halina Dobrowolska, Suwałki; Luta Owsianowska, Poznań; L. Lenartowki, Poznań; J. Lenartowska, Poznań; A. Loeglerowa, Stanisławice; „Rozmaryn" z Wilna; inż. Asia Fensterowa, Wilno; **st. sierż. Dorosz, Drohobycz** (zł. 10.—); Miecz. Romanowicz, Kraków; „Joteł"; Jawnuta, Słonim; L. Ciesielski, Warszawa; H. Wiłkosz, Sucha; J. Maziarz, Ozorków; Ant. Rakowski, Radom; Cz. Kozłowski, Warszawa; „Grenicheux", Warszawa; J. Świerczyńska, Lwów; W. Tyblewski, Poznań; Jerzy Bielesz, Kraków; W. Ciepiela, Kraków; **Z. Węglarz, Toruń** (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—30. IX. 1933); St. Marynowski, Łódź; „Sak", Warszawa; M. Strubel, Warszawa; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Jawna Kowalska, Warszawa; R. Dergiman, Wilno; M. Frankiewicz, Kamionka Strumiłowa; Włodz. Czapski, Stąporków; L. Ludużkiewicz, Łódź; Luta Owsianowska, Poznań; J. Tyblewska, Poznań; M. Jagusiński, Kraków; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Włodz. Tyszkiewicz, Poznań; Mich. Schmidt, Lwów; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Zygmunt Tietz, Warszawa; Janina Zygmuntówna, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Kazimierza Pycio, Pabjanice (zł. 20.—), st. sierż. Dorosza, Drohobycz (zł. 10.—) i Z. Węglarza, Toruń (prenumerata miesięczna „Światowid" od 1—30 września 1933.

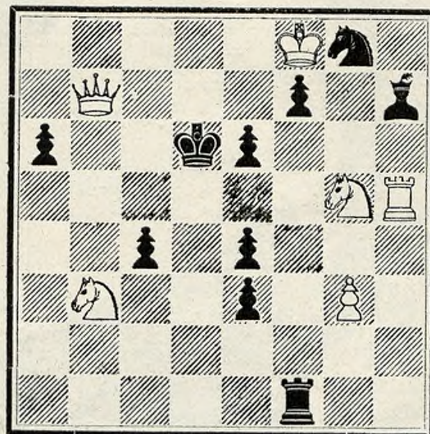
Redakcja „Światowida" nagrody pieniężne prześle niebawem.

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

E. Umnow („Szachmaty" 1929).

Czarne: Kd6, Wf1, Gh7, Sg8, piony: a6, c4, e3, e4, e6, f7 (10).



Białe: Kf8, Hb7, Wc4, Sb3g5, pion: g3 (6).
3-chodówka: 6 × 10 = 16.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki E. Umnowa: 1. S—d 4
I. 1... G—f5 2. S×f7+ K—c5 3. S×e6×;
II. 1... W—f5 2. S×e4+ K—e5 3. S—f3×.

PARTJA.

Białe: **P. Frydman (Polska)** — Czarne: **Gemzoe (Danja)**

grana w turnieju Narodów w Folkestone w r. b.
Gambit hetmana.

1. d4 S—f6
2. c4 e6
3. S—c3 d5
4. G—g5 G—e7
5. e3 0—0
6. S—f3 Sb—d7
7. c×d5 e×d5 **(1)**
8. G—d3 b6
9. H—c2, G—b7
10. 0—0—0! **(2)** c5
11. S—e5 h6
12. G—f4 c× c×d4 **(3)**
13. e×d4 a6
14. K—b1 b5
15. f3! S—b6? **(4)**
16. g4 Sf—d7
17. h4 Wa—c8 **(5)**
18. g5 h5
19. g6! b4 **(6)**
20. g×f7+ W×f7
21. G—h7+ Kf8 **(7)**
22. S×f7 K×f7
23. H—g6+ K—f7
24. H—e6! **Czarne poddały się.**

UWAGI:

(1) Wymiana ta ulubiona przez Alechina wyswobadza wprawdzie gońca, który jednak ma mało iwdoków dobrego rozwoju.
(2) Odważnie i śmiało zagrano. Przy tym ataku na skrzydle króla Białe muszą się liczyć z kantratakiem na skrzydle hetmana. Szybkość zrealizowania ataku decyduje o wyniku partji.
(3) Ta wymiana jest niekorzystna dla Czarnych.
(4) Strata tempa. Należało grać W—c8!
(5) W razie bicia na h4 Białe odpowiadałyby H—h2, poczem f4 i g5.
(6) Bicie piona dawało Białym wielkie możliwości ataku.
(7) Gdyby 21... K—h8 22. S×f7+.
(8) Na 24... G—f6 nastąpi 25. G—d6+, a na S—f6

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: **Krakowskie Przedm. 9.** Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 34 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 19-go sierpnia 1933 roku.*



ZAUŁEK STAREGO POZNANIA.

Fot. Konrad Hoffman, Poznań.



FILM

„Dziedzicu – proszę kupić kwiatki dla narzeczonej"

(mig) Debiutem filmowym Jadzi Andrzejewskiej był epizod kwiaciarki w filmie „Dzieje grzechu", reżyserowanym przez Henryka Szaro. Andrzejewska jako uliczna „fioraja" w łachmanach podaje Damięckiemu, który gra Łukasza, wiązankę konwalij i bratków ze słowami.

— Dziedzicu — proszę kupić kwiatki dla narzeczonej.

Łukasz, nie biorąc kwiatków, daje małej kwiaciarce pieniądz. Dziewczę spogląda zdziwione i nagle pod wpływem wewnętrznego impulsu podchodzi do Ewy, kreowanej przez Karolinę Lubieńską i mówi:

— To dla pani — od tego pana.

W tej niewielkiej ale wdzięcznej rodzajowej scence młodziutka artystka ujawnia sugestywną ekspresję, a prześliczny, nabrzmiały lirycznemi tonami głos Jadzi Andrzejewskiej nie traci nic ze swej ciepłej metaliczności — na taśmie dźwiękowej.

— Kiedy pierwszy raz przyszło mi stanąć przed aparatem filmowym to jakbym ząb miała rwać... Do sceny jestem przyzwyczajona od dziecka ale praca w filmie — to zupełnie co innego — opowiada Jadzia Andrzejewska. — I tak się bałam — czy to dobrze wypadnie... Ale reżyser Szaro dodał mi otuchy i jakoś poszło...

PIERWSZY FILM LWOWSKI



Janina Martini, artystka lwowskiego teatru (przed objektymem).



Kulisy teatru w czasie przedstawienia „Zbójców" Schillera



Janina Martini i Stan. Pobóg.

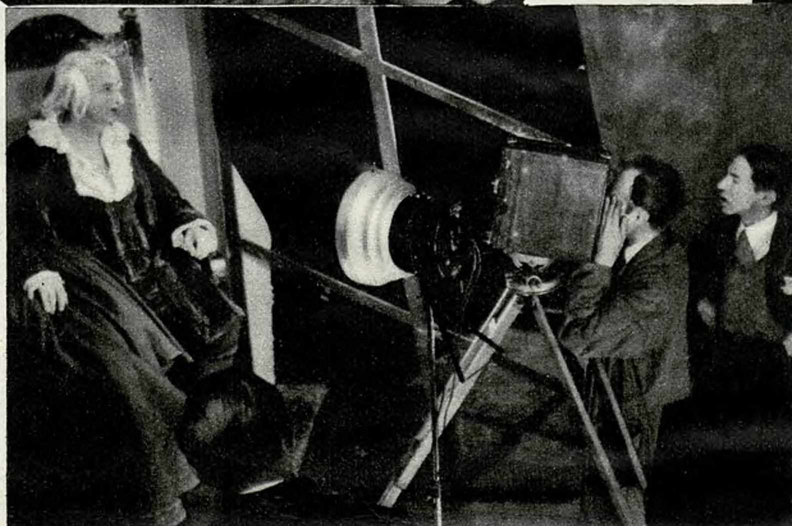
Lwów jakoś w żaden sposób niema szczęścia do filmów. Film bowiem, który ma być nakręcony i wyprodukowany we Lwowie — umiera zwykle jeszcze zanim się narodzi. Zazwyczaj bowiem bywa, iż realizator będący zarazem producentem, operatorem i laborantem w jednej osobie — przelicza swe siły tak finansowe jak i artystyczne. I następuje klapa. Mieliśmy takich przykładów już wiele, nic więc dziwnego, iż obecnie ogół sceptycznie zapatruje się na każdorazowe poczynania, mające na celu stworzenie filmu.

Pierwszym filmem, jaki we Lwowie nakręcono i ukończono jest krótkometrażówka „Jak pracuje teatr lwowski", zrealizowany przez reżysera teatru lwowskiego Wacława Radulskiego. Film ten pokazuje życie kulis, prace nad ustawianiem dekoracyj, próby, charakteryzacji i wreszcie samo przedstawienie. W ramach tego filmu jest kilka fragmentów z próby generalnej „Zbójców" Schillera.

Podejście do tematu reżysera Radulskiego, znanego już poprzednio z filmu krótkometrażowego, nakręconego w Wilnie — jako zdolnego awangardowego realizatora — jest nader ciekawe i śmiałe. Sukces tego filmu należy również przypisać operatorowi Jarosławowi Słoniewskiemu, którego szereg zdjęć zasługuje na uwagę i podkreślenie.

W filmie brało udział szereg lwowskich artystów dramatycznych z Janiną Martini, Władysławem Krasnowieckim, W. Wickim i Mihułowiczem na czele.

j. r.



Operator J. Słoniewski (przy aparacie) i realizator W. Radulski podczas nakręcania filmu „Jak żyję i pracuje teatr lwowski".

Aleksander.

CZY ONI MAJĄ DOBRZE W GŁOWIE?

Są czasem dnie, kiedy człowiek jest w doskonałym humorze, wtenczas pobłażliwy dla wszystkich, z uśmiechem czyta te potworne bzdury, które przysyłają do redakcyj wydziały propagandy wszystkich wytwórni, dotyczące szczegółików z życia gwiazd filmowych. Nie przejmuje się tem, że „Sylwia Sidney lubi najbardziej boczek i wątróbkę" (a czy wątróbkę smażoną, czy denstowaną, bo to ważne!), że „Marlena Dietrich zbiera perfumy w ozdobnych butelkach, a sama nigdy się nie perfumuje" — że „Claudette Colbert nie lubi grać w karty" — a „Wynne Gibson posiada aż 314 drewnianych słoni, które podobno przynoszą szczęście".

A niech je tam... Niech sobie je wątróbkę, ja za to nie płacę, Cladette Colbert nie potrzebna mi na czwartego do bridża, niech nie gra — Wynne Gibson mnie słoni nie ukradła, niech sobie zbiera.

Ale na to, żeby tak te rzeczy traktować, trzeba pięknego dnia i dobrego nastawienia psychicznego po dobrze przespanej nocy. Są jednak i takie dnie, kiedy człowiek wstanie rano lewą nogą z łóżka, kiedy „pysk mu się wydaje krzywy, wszystko mu się widzi głupie, i sam siebie ma w — pogardzie". Gdy w taki dzień wpadną mu w ręce owe nader ważne wiadomości, że:

„Lilian Tashman wprowadziła nową modę dla kobiet, które wychodzą po raz drugi za mąż",

„że Ramon Novarro w przerwach między zdjęciami nosi od 12 lat ten sam brudny szlafrok",

„że Levis Stone nie lubi się golić i gdy nie kręci tygodniami, chodzi niegolony, paradując z brodą, upadabniającą go do Robinzona Kruzoe",

„że Marja Dressler nosi od lat te same kapelusze, gwizdając na modę",

„że ostatniem najmilszem zamiłowaniem Marion Davies jest urządzanie u siebie na przyjęciach małych pożarów z miłości dla ognia. Buduje w tym celu specjalnie małe domki, które sama podpala,

„że Joan Crawford lansuje modę malowania paznokci rąk na błękitno" i t. d.

Gdy przeczyta się w taki chmurny, trzeźwy dzień kilka tego rodzaju wiadomości (a pisma filmowe lubują się w ich powtarzaniu) to mimowoli normalny człowiek musi sobie pomyśleć — czy u nich aby jest na stryszku wszystko w porządku?

Rozmawiałem niedawno z jednym znakomitym psychjatrą, który mnie zapewniał, że Hollywood byłoby rajem dla zdolnego psychjatry obserwatora, że wszystkie te „ekstrawagancje" mają swoje od dawna ustalone nazwy w podręcznikach psychjatryji.

Bo ostatecznie czy to nie jest lekki, może nawet niewinny bziczek, że John Barrymoore zainstalował sobie w głębi swojego basenu pływackiego zegar słoneczny, aby pływając wiedział w każdej chwili, która jest godzina? Bo a nuż mu właśnie podczas pływania przyjdzie na to ochota?

A czy długoby trzeba szukać określenia dla postępku Clary Bow, która wracając z Europy do Nowego Yorku, kazała przysłać sobie z Californji do Nowego Yorku aeroplanem swojego ulubieńca — białego szczura, aby go mogła zaraz po wylądowaniu przywitać. A amerykańscy dziennikarze robili wywiady z ważnym szczurem, czy mu odpowiadał ten środek lokomocji. Jednemu z nich odpowiedział podobno sympatyczny szczurek — tylko dziennikarz nie mógł tego powtórzyć.

Wallace Berry na tarasie jednej ze znanych i popularnych kawiarni, wyskoczył nagle na stół, zaczął skakać, tańczyć i wykrzywiać się ludziom. Zapytany o przyczynę tej „fantazji", odpowiedział, że siedział tam dwie godziny, oglądany i obserwowany przez wszystkich, jak małpa na wystawie. To go tak zirytowało, że wyskoczył na stół, bo nie chciał, poczciwiec, uczynić zawodu ludziom, więc uczynił to czego, jak przypuszczał, oczekiwano od niego.

Nie jest też niczem innem, jak zbiorowym obłędem owa epidemja rozwodów, jaka ogarnęła szalone miasto. W roku 1932 rozwiodło się 411 znanych i popularnych gwiazd, a objęte są statystyką same grube ryby nie żadne płotki. Dzisiaj nie wiadomo już nikomu kto jest mężem której gwiazdy, jak nazywa się ta gwiazda, z kim chwilowo mieszka i z kim śpi. Ci mili ludzie biorą sobie ślub w sobotę — na weekend — aby się w poniedziałek rozwieść, bo już wiedzą o sobie wszystko. Znalazł się tam taki sympatyczny gruziński książę, który rozwodził się już z razy i widocznie zasmakował mu ten proceder (nie rozwód, tylko wesele) i musiał o tem pisać „do domu", bo obecnie przyjechał do Hollywood jego brat, aby rozpocząć tę samą przyjemną zabawę.

Rozwodzą się tam bez wyjątku wszyscy. Epidemja nie oszczędziła nikogo. Ostatnio rozwiódł się 60-letni aktor charakterystyczny Chester Conklin mimo, że żył ze swoją żoną szczęśliwie od przeszło 25 lat. Pani Conklin poznała w atelier młodego argentyńczyka, w którym zakochała się na zabój.

Żyje tam w tym jednym wielkim szpitalu warjatów, których niestety nikt nie leczy, wśród szalonych gwiazd jedna normalna, zdrowa, obdarzona cudownym talentem kobieta. W atelier gra to, co przewiduje scenarjusz ustalony poprzednio i co nakazuje reżyser bez kłótni, sporów i awantur. W życiu prywatnem stara się nie zwracać na siebie uwagi, żyje cicho i spokojnie, nie wiemy czy jada wątróbkę i boczek, nie nosi męskich ubrań, nie maluje paznokci na błękitno, nie wychodzi za mąż i nie rozwodzi się, nosi proste suknie, nie pije i nie szaleje — największy dziwoląg Hollywoodu — Greta Garbo. Dziwoląg, bo zachował się normalny człowiek wśród warjatów. I właśnie z tej jedynej normalnej zdrowej kobiety zrobiono najbardziej dziwną istotę. Wśród tych szaleńców prostota stała się największem dziwactwem. „Tajemnicza Greta Garbo", bo nikt nie słyszał o żadnym skandalu w związku z jej osobą, tajemnicza, bo płaci swoim modniarkom i krawcom, bo nie miała żadnego procesu i żyje jak normalny człowiek.

Drugą taką kobietą, która jeszcze broni się przed ogarniającym ją szałem, jest Marlena Dietrich, jakkolwiek i ona już jest zaczadzona. Jak sama twierdzi, życie jej brzydnie w atmosferze ohydnych plotek, jaka ją otacza. „Jedyną moją pociechą jest dziecko. Gdybym była w Hollywood bez córeczki, nie wytrzymałabym tutaj. Boże — jakąż byłabym nieszczęśliwa".

Ale tamci wszyscy? Przypatrzywszy się im na trzeźwo musimy stwierdzić, że jednak są oni zlekka „świrkowaci", jak mówią we Lwowie. Może ten ich świrk nie jest niebezpieczny, może się nawet czasami przyjemnie czyta o tych ich szaleństwach i fantazjach, ale to nie zmienia samego faktu, że psychjatra miałby z nich przyjemność.

* * *

Wszystkie cytowane ekstrawagancje, przesądy i „wyczyny" gwiazd i gwiazdorów nie są naszym wymysłem. Są to wszystko oryginalne dane, przesyłane przez wydziały propagandy poszczególnych wytwórni.

Z CYRKU – ZNOWU DO FILMU.

(Rein) Filmy osnute na tle dzikiego Zachodu stały się znowu modne w Ameryce. Szerokie, przestrzenne prerje dały tym filmom wspaniałe naturalne dekoracje. Bohaterami tych filmów są surowe, jakby z granitu wykute postacie, pełne bohaterstwa, prawości i galanterji dla kobiet. Z pośród aktorów filmowych występujących w tych filmach wyróżniają się Tom Mix, George O'Brien, Ken Maynard i Buck Jones.

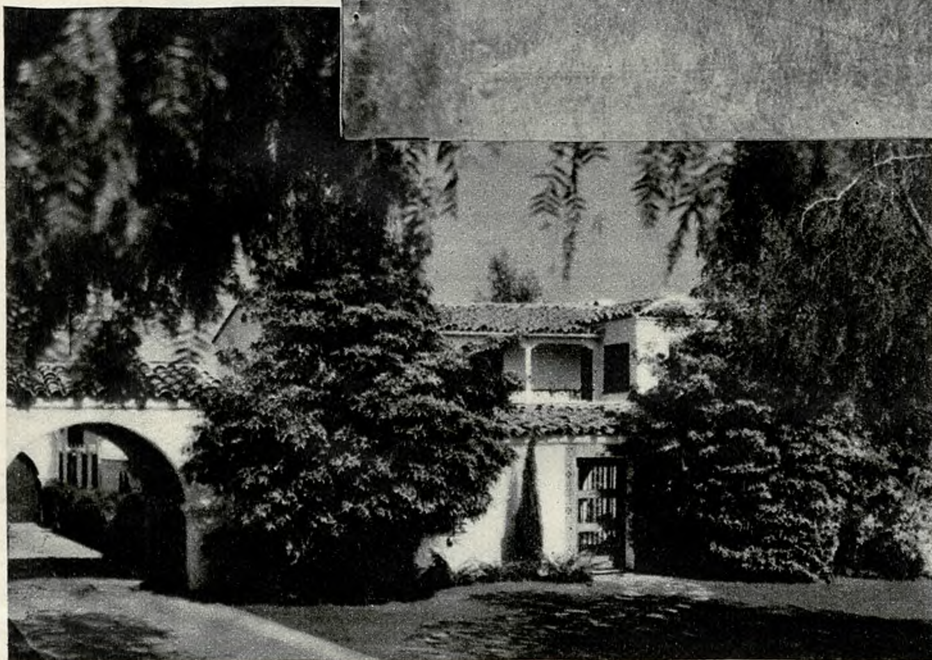


Tom Mix na czele swoich chłopców.

Najpopularniejszym jednak jest Tom Mix. Jego sylwetka, wysoki i szeroki kapelusz, znane są wszystkim miłośnikom kina.

Przed kilku laty Tom Mix porzucił Hollywood i przerzucił się do cyrku, gdzie występował wraz ze swym tresowanym koniem. Ale po niejakim czasie te występy znudziły mu się i dlatego postanowił wrócić na łono X— muzy. W tym celu zaprosił do swej wspaniałej willi w Beverley Hills grono przyjaciół, dla których prządził wytworny bankiet, na zakończenie którego Tom Mix, ukazał się na koniu i zaprodukował swą nieporównaną jazdę. Otaczała go gwardja covboyów, z których kilku jest Europejczyków.

Szerokie rzesze zwolenników talentu Toma Mixa, życzą mu, aby nowe jego filmy były jeszcze jednym więcej liściem wawrzynu wie wieńcu jego sławy.



Willa Toma Mixa w Beverly Hills. Metro Goldwyn Mayer.

KRONIKA FILMOWA

(Al.) Wiele hałasu narobiła ostatnio książka D. H. Lawrenca p. t. Kochanek Lady Chatterley. Skonfiskowana najpierw w Anglji, potem wydana na nowo, wyszła nieokrojona przez cenzurę we Francji, w Polsce ukazała się niedawno po konfiskacie po raz drugi. Czy ten wielki rozgłos jest słuszny i zasłużony, nad tem należałoby się co najmniej głęboko zastanowić. W każdym razie temu rozgłosowi zawdzięcza Lawrence, filmowanie swojej powieści.

Główną rolę w tym filmie, który może się okazać ciekawszym od przydługiej nieco książki, będzie kreowała córka autora. Miss Deha Lawrence. Będzie to jej debiut filmowy.

— — Raymond Bernard słynny reżyser francuski ukończył nakręcanie nowej wersji „Nędzników". W głównych rolach grają Harry Baur (Jean Valjean) i Florelle (Fantine). Film ten w wersji niemej cieszył się kolosalnym powodzeniem.

— — Sylwia Sidney i Maurice Chewalier będą grali razem w najbliższym ich filmie. Będzie to „Droga do miłości" (francuski tytuł brzmi: Metody miłości). Reżyserem tego filmu będzie Norman Taurog, który reżyserował też ostatni film Chewaliera. Niewątpliwie bardzo ciekawem będzie połączenie we współpracy tragiczki Sylwji Sidney i wesołego Morysia.

— — Charlie Chaplin wraca do pracy filmowej. Pisze on obecnie sam scenarjusz do swego najbliższego filmu, który zamierza nakręcić jeszcze w tym roku. Równocześnie opracowuje on swoje pamiętniki, mające podobno już bardzo pokaźną objętość.

— — W. S. Dyck powrócił do Hollywood po rocznym pobycie na morzach polarnych, gdzie nakręcał film „Eskimo", którego scenarjusz oparty jest na powieści Piotra Frenchena. Obecnie film ten znajduje się w laboratorjach, gdzie jakość zdjęć wzbudza powszechne zdumienie. Najbliższym filmem Van Dycka ma być „Dach ochronny" z Madge Evans i Charles Butterworthem. Film ten zajmuje się komplikacjami i problemami nowoczesnego życia w wielkiem mieście.

— — Najnowszym filmem Lubicza będzie „Plan życia". Scenarjusz oparty jest na sztuce Noel Cowarda, która w Nowym Yorku nie schodzi z afisza już od roku. Obsadę tworzą Miriam Hopkins i Frederick March, który zastąpił chorego Douglasa Fairbanksa jun. Będzie to jeszcze jedna filmowa przeróbka sztuki teatralnej.

— — Jak się można było spodziewać „wielkie nieporozumienie" pomiędzy dyrekcją wytwórni a Gretą Garbo, wynikłe na tle pewnych scen scenarjusza „Krystyny Królowej Szwedzkiej", zostało szczęśliwie zakończone. Robert Sherwood, autor scenarjusza zmienił sporne sceny i Greta na nowo rozpoczęła zdjęcia. Architekci odtwarzają pałac królowej Krystyny i budują w Hollywood mały zakątek Szwecji. Nie będzie to jednak Szwecja „a la american", bo Greta Garbo jest bardzo czuła na tem punkcie i sama pilnuje wszystkich szczegółów.

— — Clarence Braun, znany reżyser, który nakręcił większość filmów z Gretą Garbo, kończy realizację ostatnich scen filmu „Cienie o świcie" (Night Flight) według powieści Antoniego de Saint Exupery. Obsadę tego sensacyjnie zapowiadającego się filmu tworzą najsławniejsze gwiazdy ekranów: John Barrymore, Lionel Barrymore, Helen Hayes, zwana słusznie Lon Chaneyem w spodnicy. Clark Gable, Robert Montgomery i Myrna Loy. Film ten budzi bardzo duże zaciekawienie.

— — Józef von Sternberg, świetny reżyser Marleny Dietrich, przygotowuje się obecnie do nakręcenia „Nany" według powieści Emila Zoli. Jest sensacją Hollywoodu, że główną rolę w tym filmie grać będzie nie Marlena, a prześliczna Anna Sten. Tej wybitnej aktorce należą się szczere gratulacje, że „dostała się w ręce" tak zdolnego reżysera.

— — W Niemczech przekonują się powoli, że produkcja samych filmów „patrjotycznych" nie bardzo się opłaca, a że interes jest rzeczą ważną, więc wracają zwolna do normalnej produkcji.

Obecnie Kurt Geron wykończył w Ufie film p. t. „Dziecino cieszę się na Twój powrót". W rolach głównych występują: Magda Schneider, Ida Wüst, Juljusz Falkenstein i Otto Wallburg. Film ten ukazał się kilka dni temu na ekranach Berlina i został entuzjastycznie przyjęty przez publiczność.

— — Kierownik produkcji filmu „Carewicz" M. Horsetzki przebywa obecnie w Paryżu i angażuje aktorów do francuskiej wersji tego filmu. Dotychczas zaangażował Marie Glory i Germaine Aussey.

— — Annabella i Jean Murat grają we francuskiej wersji niemieckiego filmu Ufy p. t. „Niemoralna dziewczyna".

„Moja siostra i ja" to tytuł niemieckiej komedji, nakręcanej w Neu Babelsberg. W wersji franc. grają Albert Prejean, Armand Bernard i Marie Bell. Kierownikiem produkcji jest Gregor Rabinowitch.

TRZY FILMY NIEMIECKIE,

(Al.) Produkcja niemiecka stała się dla nas zupełnie obcą i całkowicie niedostępną. Większość obrazów to filmy czysto „patrjotyczne", ziejące nienawiścią do wszystkiego, co nie jest niemieckiem. Z produkcji bardziej „objektywnej" zapowiadają się ciekawiej trzy tylko obrazy.

Są to „Schloss im Süden" inscenizacji Gezy von Bolvary, z Viktorem de Kowa, Lianą Haid i nową gwiazdą Helke Jürgensen (ani nazwisko ani imię nie brzmi nazbyt po hitlerowsku). Drugim obrazem jest „Romans jednej nocy", obraz kryminalny, którego akcja toczy się w Berlinie i Kopenhadze. W rolach głównych Gustaw Diessl, Ery Bos i Paul Kemp.

Trzecim filmem jest „Das Tankmädel" z Urszulą Grabley, Marią Meisner i Eritzem Schulzem. Nazwiska prawie wszystkie całkowicie obce i nic nie mówiace.

Dymsza mówi... Dymsza kręci...

Dymsza już po swoim pierwszym filmie — stał się odrazu ulubionym komikiem publiczności kinowej!... A w miarę nakręcania dalszych — popularność filmowa Dymszy ciągle wzrasta. Dość wspomnieć pyszną figurę, jaką stworzył w filmie „Każdemu wolno kochać“...

Ta przedziwna bezpośredniość, która jest charakterystyczną cechą talentu Dymszy — ma właśnie dla ekranu specjalne znaczenie...

I na szczęście nie można Dymszy zestawiać z żadnym aktorem zagranicznym — nie jest on ani „polskim Chaplinem“ ani „polskim Buster Keatonem“, ale poprostu Dymsza o własnym indywidualnym stylu.

Dymsza świeżo ukończył zdjęcia do filmu „Dwanaście krzeseł“ i mile wspomina o swej współpracy ze świetnym czeskim komikiem Vlastą Burianem.

— Popłakaliśmy się przy rozstaniu... Burian zaprosił mnie do siebie. Na premjerę „12 krzeseł“ jadę do Pragi i wówczas wystąpię prawdopodobnie w teatrze Buriana...

— A najbliższe plany filmowe?

— Komedja filmowa „Mój brat i ja“ — według własnego mego scenarjusza! Partnerem moim w tym filmie — będzie Igo Sym...

Mig.

HUMOR.

Skutki powodzenia.

„Moryś“.



...Gdy amerykański amant filmowy przyjeżdża na wypoczynek do Europy...